na WINNICY

z miłości do miasta

w numerze:

Takich jak ja, zakochanych w mieście, jest wielu. Zakochanych i z inicjatywą. Którzy mogli stąd wyjechać do Wrocławia, do Poznania, do Warszawy, za granicę, ale zostali. Zielona Góra zawsze miała szczęście do ludzi. Przecież osób ze stopniem doktora, w powojennym mieście można było policzyć na palcach jednej ręki. A dziś mamy już ponad setkę profesorów zwyczajnych. Są wspaniali plastycy, muzycy, kompozytorzy, pisarze, dziennikarze, kabareciarze.

Rozmowa z Ryszardem Błażyńskim, prezesem TMZG Winnica na s. 3

Gęba. Jedna z ostatnich pozostałych enklaw, mieszcząca się w małym akademiku na pierwszym piętrze. Tradycje kabaretowe były długie na dawnej WSP, a właśnie w tym klubie pierwsze szlify zdobywał legendarny kabaret Potem czy takie gwiazdy jak chociażby Grzegorz Halama...

Więcej w artykule Radosława Domkego na s. 12

Dziwnym sposobem Jerzemu udaje się godzić niezależność artystyczną z obowiązkami grafika użytkowego, choć jak sam przyznaje, brakuje mu czasu, aby robić coś dla siebie. Jak się okazuje, prace na zamówienie, wykonywane „dla pieniędzy”, mogą sprawiać twórczą satysfakcję. Dobrym przykładem tego typu realizacji jest cykl 23 barwnych prac poświęconych zielonogórskiemu winiarstwu.

Artykuł dotyczy wystawy Jerzego Fedry s. 20

Brak zniszczeń spowodował, że Gród Bachusa przyciągał inteligencję z dużych ośrodków miejskich, jak np. Krakowa, Lwowa czy Poznania. Zielonagóra (taką nazwę nosiło miasto zaraz po wojnie) była określana namiastką Paryża. Działo się tak dzięki możliwości prowadzenia bujnego życia towarzyskiego i kulturalnego. W mieście działały liczne knajpki, gdzie były organizowane przedstawienia amatorskie, zaś najważniejsze były te, w których zbierała się i tworzyła ówczesna inteligencja.

Tak sie rodziły kabarety s. 12

TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW ZIELONEJ GÓRY WINNICA

Pomysł na nagrodzenie literatów piszących o Winnym Grodzie narodził się podczas dyskusji nad programem Towarzystwa Miłośników Zielonej Góry. Dotychczasowe dwie edycje przetarły szlak. W 2015 r. Zielonogórską Nagrodę Literacką „Winiarka” otrzymał poeta, prozaik, historyk literatury i badacz lubuskiego środowiska literackiego dr Robert Rudiak. W 2016 r. laureatką nagrody została poetka Agnieszka Leśniewska. Nagrodą jest statuetka zaprojektowana przez artystę rzeźbiarza Roberta Tomaka.

Więcej na s. 6 . Na kolejnych stronach publikujemy utwory laureatki i autorów nominowanych do nagrody.

Stary Rynek

fot. Bogumła Hyla-Dąbek

Stowarzyszenie zakochanych w swoim mieście

ROZMOWA Z RYSZARDEM BŁAŻYŃSKIM – PREZESEM TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW ZIELONEJ GÓRY „WINNICA"

– W Zielonej Górze jest sporo organizacji należących do trzeciego sektora, tworzących tzw. społeczeństwo obywatelskie. Na przykład Perspektywy Zielonogórskie, Stowarzyszenie Pionierów, Moje Miasto, Nasz Deptak, fundacje Bezpieczne Miasto, Zielona Góra Kreatywności, Gloria Monte Verde, Gramy w Zielone. Czy jeszcze potrzebne jest stowarzyszenie miłośników miasta? Może byłby większy pożytek, gdyby członkowie Winnicy włączyli się do już istniejących towarzystw?

– Organizacje, które wymieniłeś, mają charakter branżowy. Skupiają osoby zainteresowane wąskimi problemami. Nasze towarzystwo zajmuje się Zieloną Górą jako miejscem zamieszkania, spędzania wolnego czasu, pracy, przeszłością miasta, jego promocją, eliminowaniem wad i wskazywaniem wartościowych dokonań przez mieszkańców w przeszłości i obecnie. Skupia przede wszystkim osoby zakochane w Zielonej Górze. Którym zależy na tym, żeby miasto było rozpoznawalne w każdym miejscu na świecie. Członkami Winnicy są zielonogórzanie z urodzenia i z wyboru. Patrioci miejscy z krwi i kości.

– Po czym ich poznać?

– Po tym, że należą do Winnicy. Że na zewnątrz o naszym mieście mówią dobrze lub wcale. Że w swoim gronie biorą się za łby nie po to, aby sobie nawymyślać, ale żeby naprawić błędy. Że nie boją się podpowiadać prezydentowi i radnym, co trzeba zrobić, aby zielonogórzanom żyło się, pracowało i mieszkało przyjemniej.

– Sam wpadłeś na ten pomysł czy ktoś rzucił myśl, lecz nie miał ochoty wcielić jej w życie, więc wskazał ciebie jako tego, który poprowadzi towarzystwo? W przeszłości podejmowałeś się podobnych działań. Zawsze z sukcesem.

– Myśl powstała w mojej głowie. Przedyskutowałem ją najpierw z żoną, potem ze znajomymi. Wszyscy byli za. Zawiązała się więc grupa założycielska pod moim przewodnictwem. Byli w niej między innymi profesorowie uniwersytetu: Czesław Osękowski, Waldemar Sługocki, Ryszard Zaradny, prawnicy, muzealnicy, aktorzy, literaci. W listopadzie 2013 roku zanieśliśmy statut do sądu po to, żeby formalnościom stało się zadość.

Największym sukcesem jest zaistnienie towarzystwa wśród mnogości organizacji trzeciego sektora. Wielu członków to osoby związane z kulturą

– Dlaczego nazwę towarzystwa dopełnia określenie Winnica?

– W pierwszej wersji nie było Winnicy. Gdy poszliśmy do sądu zarejestrować statut, sędzia zasugerował, aby do nazwy coś dodać. Przed laty zawiązało się Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry. Jaką przejawiało działalność, sędzia nie słyszał. W pewnym jednak momencie zostało wykreślone z rejestru. Zatem, by nikt nie „czepiał się" naszego stowarzyszenia, które nie ma nic wspólnego z tym wyrejestrowanym, podpowiedział uzupełnienie nazwy TMZG albo jej zmianę. Ponieważ historyczna Zielona Góra jest miastem znanym jako ośrodek winiarski, postanowiliśmy, że stowarzyszenie będzie dookreślało słowo „Winnica".

– Wiele lat temu istniało Towarzystwo Przyjaciół Zielonej Góry? Czy TMZG jest jego spadkobiercą? Będzie kontynuowało to, co zapoczątkowało TPZG?

– Jako mieszkaniec miasta starszej daty pamiętam, że było takie stowarzyszenie. Niestety, nie potrafię podać jego osiągnięć, a starałem się dotrzeć do dokumentów. Pytałem zielonogórzan, co zrobiło. Nie uzyskałem odpowiedzi.

– A ja myślę, że TPZG istniało dlatego, że podobne organizacje były w każdym powiecie. Wiodącą rolę wśród stowarzyszeń regionalnych pełniło Lubuskie Towarzystwo Kultury z siedzibą w Zielonej Górze. LTK było wojewódzkie i miejskie.

– Chyba masz rację.

– W Zielonej Górze są niemal wszystkie instytucje kulturalne, artystyczne, naukowe. Jest uniwersytet. Są środowiska twórcze i opiniodawcze. Istnieje sporo stowarzyszeń, jak je określiłeś, branżowych. Znaleźć swoje miejsce w mieście nie powinno być łatwo. Samo zakochanie nie wystarczy.

– Takich jak ja, zakochanych w mieście, jest wielu. Zakochanych i z inicjatywą. Którzy mogli stąd wyjechać do Wrocławia, do Poznania, do Warszawy, za granicę, ale zostali. Zielona Góra zawsze miała szczęście do ludzi. Przecież osób ze stopniem doktora, w powojennym mieście można było policzyć na palcach jednej ręki. A dziś mamy już ponad setkę profesorów zwyczajnych. Są wspaniali plastycy, muzycy, kompozytorzy, pisarze, dziennikarze, kabareciarze. Na uniwersytecie kształcą się przyszli prawnicy, lekarze, inżynierowie, ekonomiści. Niemała ich część zostanie w mieście, zakocha się, uzna Zieloną Górę za najlepsze miejsce pod słońcem. Za profesorem Hieronimem Szczegółą powtórzę, „że wokół Zielonej Góry ukształtował się w ostatnim pięćdziesięcioleciu obszar, dla którego miasto stało się naturalną stolicą".

– Towarzystwo istnieje od trzech lat. Czym ma się pochwalić?

– Nasz program założycielski składał się z dwunastu punktów. Dziś wiem, że część z nich została sformułowana na wyrost. Zapowiedzieliśmy choćby swoje działania wokół powołania muzeum Zielonej Góry. Ćwierć wieku temu taka instytucja miała znaleźć siedzibę w dawnym więzieniu przy dzisiejszym placu Powstańców Wielkopolskich. Po przeniesieniu

kurii biskupiej z Gorzowa do Zielonej Góry budynek zajęła administracja diecezjalna. Później padła propozycja, aby muzeum miejskie powstało w ratuszu. Nic z tego nie wyszło. Dziś jego namiastką jest ekspozycja poświęcona historii miasta mieszcząca się w gmachu Muzeum Ziemi Lubuskiej. Wydaje się, że uda się to zrealizować tę ideę z chwilą rozbudowy muzeum, co jest na dobrej drodze.

– Również nie udało się ze statuetką Przyjaciel Miasta Zielona Góra.
– Jeszcze nic straconego. Naszym zamiarem było honorowanie zakładów pracy i osób tą statuetką. Honorowanie za to, że czymś zasłużyli się miastu. Zrobili coś, co je rozsławia. Osób i instytucji godnych tego wyróżnienia jest niemało.

Ryszard Błażyński – rocznik 1949, urodzony w Sulechowie. Od 1974 r. mieszka w Zielonej Górze. Absolwent pedagogiki kulturalno-oświatowej Wyższej Szkoły Pedagogicznej, był m.in. dyrektorem wydawnictwa Uniwersytetu Zielonogórskiego, inicjator międzynarodowych konkursów na rysunek satyryczne, laureat Nagrody Eryka (Lipińskiego) Stowarzyszenia Polskich Artystów Karykatury.

fot. Alicja Błażyńska

– Co się udało?
– Największym sukcesem jest zaistnienie towarzystwa wśród mnogości organizacji trzeciego sektora. Wielu członków to osoby związane z kulturą. Nie chodzi im o to, żeby to, co robą w swoich instytucjach i pracowniach, kopiować do towarzystwa. Chodzi o to, aby uzupełniać działania. Na przykład ustanowiliśmy Zielonogórską Nagrodę Literacką „Winiarka", którą przyznajemy za najlepsze utwory o Zielonej Górze. Nasza nagroda nie przeszkadza Lubuskiemu Wawrzynowi Literackiemu czy Nagrodzie im. Andrzeja K. Waśkiewicza. Wydaliśmy kilka książek literackich o Zielonej Górze, na przykład poemat Marka Jurgońskiego *Mniejsza epopeja*, dotyczący Wydarzeń zielonogórskich 1960 roku, nominowany do Wawrzynu. Spod pióra Mirosławy Szott wyszła *Anna*, proza poetycka o Annie Tokarskiej, także nominowana do Wawrzynu. Opublikowaliśmy tomiki wierszy Barbary Konarskiej i Czesława Sobkowiaka. Wspólnie z wydawnictwem uniwersytetu wydaliśmy szkice Andrzeja Waśkiewicza o tutejszym środowisku literackim.

– Tylko książki literackie?
– Zapoczątkowaliśmy serię wystaw pod umownym tytułem „Kronikarze czasu". Otworzyła ją prezentacja zdjęć Zbigniewa Rajchego, który fotografował przede wszystkim miasto drugiej połowy XX i początku XXI wieku. Potem była wystawa fotografii artystycznych Bronisława Bugiela, znanego fotoreportera „Gazety Lubuskiej". Kolejny pokaz dotyczył rysunków, grafik, portretów i karykatur zielonogórzan Jerzego Fedry, urodzonego w Zielonej Górze wykładowcy uniwersytetu.

– Galeria Krzywe Zwierciadło to także dzieło towarzystwa?
– Ta galeria to kontynuacja pewnej idei sprzed lat, która funkcjonowała dotąd w wielu miejscach. Prezentowali tam swoje prace tacy mistrzowie, jak Antoni Chodorowski, Jerzy Flisak, Julian Bohdanowicz, Eugeniusz Rzerzucha. Od dwóch lat swoje przestrzenie wystawiennicze udostępnia nam Muzeum Ziemi Lubuskiej. W 2015 roku odbyła się tam wystawa rysunków satyrycznych Zbigniewa Jujki, dziś mieszkańca Gdańska, a przed laty związanego etatem z „Gazetą Zielonogórską". Podczas Lata Muz Wszelakich 2016 pokazaliśmy twórczość Henryka Chmielewskiego, bardziej znanego jako Papcio Chmiel. Jego komiksy oglądali dziadkowie z wnukami.

– Domyślam się, że plan pracy na najbliższe lata to kontynuowanie tego, co się udało. Będzie coś jeszcze?
– Będą kolejne prezentacje twórczości i osiągnięć osób związanych z Zieloną Górą. Chcemy być bliżej zielonogórskich zakładów pracy i instytucji. Mam nadzieję, że wreszcie uda się nam ze statuetką Przyjaciel Miasta Zielona Góra. Jeśli nie będzie to statuetka, to może medal lub w ostateczności dyplom, który wyróżniony będzie mógł umieścić przy wejściu do swojej siedziby. Wierzę, że pierwszy numer czasopisma „Na winnicy" nie będzie ostatnim i że spotka się ono z akceptacją mieszkańców miasta.

– Te książki, te wystawy... mogły się znaleźć w planach pracy zielonogórskich instytucji.
– Instytucje mają sprofilowany program działalności, my natomiast możemy przejawiać różnorodną aktywność. Dodatkowo zgłaszają się do nas osoby, które np. debiutują i nie zawsze czują się partnerami dla urzędów. Stowarzyszenie nie musi też pytać władz o opinię. TMZG „Winnica" robi to, co interesuje jego członków i mieszkańców. Na razie jeszcze nikt nie powiedział, że były to pieniądze wyrzucone w błoto. *A propos* pieniądzy. To największy problem. Za same składki członkowskie nie da się wydawać książek, urządzać wystaw. Potrzebne jest wsparcie finansowe władz miasta.

– Prezydent i jego administracja nie pomaga?
– Nie przeszkadza. Niewiele złotówek dostaliśmy z Urzędu Miasta. Moglibyśmy dużo więcej zrobić, gdybyśmy mieli pieniądze. Tym większa więc chwała niektórym instytucjom, że widzą w nas partnera i przyjaciół z pomysłami.

– Kim są członkowie towarzystwa?
– Jest nas blisko sześćdziesiątka. Najwięcej osób związanych z uniwersytetem, ale to pewnie dlatego, że tam pracowałem przez wiele lat. Inni to prawnicy, plastycy, nauczyciele, pisarze. Jednak odczuwamy niedostatek osób zajmujących

się biznesem. Brakuje też firm wspierających. Choć ostatnio pojawiło się światełko w tunelu w postaci Zielonogórskiej Spółdzielni Mieszkaniowej jako członka wspierającego.

– W towarzystwie dominuje pokolenie starsze i średnie.
– W zarządzie młodzi są. No i oczywiście jesteśmy otwarci na wszystkie pokolenia.

– Może program TMZG nie jest atrakcyjny dla młodszych? Towarzystwo powinno robić to, czego nie robią instytucje. Instytucje robią sporo i sporo osób z tego korzysta. Gdyby na przykład TMZG ogłosiło konkurs na bajkę zielonogórską i potem jego plon wydało na papierze i w wersji elektronicznej, czy młodzi rodzice nie kupiliby tych książek? Gdyby ogłosiło konkurs na opowiadanie kryminalne z Zieloną Górą w tle, czy miłośnicy kryminałów nie sięgnęliby po nie? Od sześciu lat klub Ad Astra organizuje ogólnopolski konkurs na opowiadanie fantastyczne z motywami zielonogórskimi. Jego plon to sześć tomów „Fantazji zielonogórskich".
– Dziękuję za podpowiedź. Zainteresuję nią zarząd, ale z pewnością pojawi się od razu pytanie o pieniądze.

– W 1922 roku Grünberg świętował swoje siedemsetlecie. Na ten temat rozmawiałem z kilkoma historykami zielonogórskimi. Pytałem, czy w 2022 Zielona Góra powinna obchodzić osiemsetlecie. Otrzymałem odpowiedzi, że nie wiadomo, dlaczego w 1922 ówczesne władze miasta urządziły święto. Zdaniem zielonogórskich historyków brakuje dokumentu poświadczającego, kiedy Grünberg otrzymał prawa miejskie. Przypomniałem im stanowisko Ottona Wolfa, który, nie wiem na jakiej podstawie, oznajmił, że miasto zostało założone w 1222 roku. Dziejopis Johann John napisał, że „większość kronik jako rok powstania miasta podaje 1222, inne z kolei 1321".
– Może był dokument, ale zaginął podczas wojny? Może jest, lecz nie został odkryty przez współczesnych polskich badaczy? Podam ten problem do dyskusji w gronie członków towarzystwa i postaram się przedstawić prezydentowi miasta.

– Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał Alfred Siatecki

Związek, który zlepia i pomaga

W województwie lubuskim jest ponad 3 tys. organizacji pozarządowych, zaliczanych do trzeciego sektora. Wśród nich najwięcej należy do ochotniczych straży pożarnych. Kolejną liczną grupę tworzą towarzystwa miłośników/przyjaciół miejscowości, czyli takie jak TMZG Winnica.

Spora część stowarzyszeń należy do Związku Lubuskich Organizacji Pozarządowych, który ma siedzibę w Zielonej Górze. ZLOP został zarejestrowany 31 stycznia 1997 r. jako Forum Inicjatyw Pozarządowych – Obywatelskich Województwa Zielonogórskiego. Od 9 czerwca 2003 r. występuje pod obecną nazwą. Do ZLOP należy blisko 300 organizacji, najwięcej z Zielonej Góry, Gorzowa i powiatu wschowskiego. Związek ma na celu m.in. tworzenie płaszczyzny współpracy organizacji pozarządowych, pomoc tym organizacjom w rozwiązywaniu problemów związanych z ich działalnością, szczególnie dotyczącą zdobywania pieniędzy. TMZG jest członkiem ZLOP.

Dwa lata temu, kiedy związek dysponował blisko 1 mln zł na wsparcie młodych organizacji, towarzystwo zwróciło się o pomoc finansową. Maksymalna kwota, o jaką mogła ubiegać się organizacja, wynosiła 5 tys. zł. TMZG znalazło się wśród ponad 200 szczęśliwców. Otrzymało pieniądze na pokrycie wydatków związanych z utworzeniem strony internetowej. To jeden pożytek z przynależności do ZLOP.

Drugi dotyczy 1 proc. od podatku. Prawo zezwala każdemu płatnikowi na przekazanie 1 proc. na rzecz wybranej organizacji pozarządowej. Zezwala, ale i stawia tamę. Stowarzyszenie musi być zarejestrowane i mieć status organizacji pożytku publicznego, co wiąże się z pewnymi obowiązkami. TMZG nie jest taką organizacją, dlatego wprost nie może korzystać z 1 proc. Wprost nie, ale może korzystać za pośrednictwem ZLOP. W formularzu rozliczeniowym płatnik podatku powinien wpisać nr KRS 0000 169 865, czyli ZLOP i wskazać, że pieniądze są przeznaczone dla TMZG, do czego zachęcamy.

Strona www.tmzg.org.pl została wykonana za pieniądze otrzymane ze Związku Lubuskich Organizacji Pozarządowych

Janusz Łastowiecki

Winiarkę otrzymała poetka

Pomysł na nagrodzenie literatów piszących o Winnym Grodzie narodził się podczas dyskusji nad programem Towarzystwa Miłośników Zielonej Góry. Dotychczasowe dwie edycje przetarły szlak.

Agnieszka Leśniewska, laureatka Winiarki 2016

Nic nie stwarza się kompletne od razu. Póki co, idea rozrasta się i ma już swoje pierwsze, papierowe świadectwo. Pokłosie pierwszej edycji jest już na bibliotecznych półkach, a książka laureatki drugiej edycji jeszcze w tym roku.

Idea Winiarki powstała w TMZG WINNICA kilka lat temu. Nagrodę o tej samej nazwie wręczono po raz pierwszy w 1962 r. Wtedy też, z okazji pięciolecia pisma „Nadodrze" postanowiono wręczać zasłużonym postaciom kultury Środkowego Nadodrza nagrodę Winiarka. To jednak przypadkowa zbieżność nazewnicza.

Przy okazji konkursu na wiersz o tematyce miejskiej zawsze zachodzi obawa, czy to nie jest zbyt środowiskowe. Od razu pojawiają się konotacje z niechlubnymi przypadkami wierszy winobraniowych, które kojarzyły się z laurkowością, przesytem treści promiejskich nad literackimi. Założeniem twórców Winiarki nie było to, by docenić tylko twórców, którzy najlepiej opiszą Winny Gród. Zadanie miało polegać na wyłowieniu interesujących literacko tekstów, które będą w stanie rozwinąć się w większą całość. Obok statuetki Winiarki, zwycięzca konkursu otrzymuje również sfinansowanie autorskiej książki. Tak stało się w przypadku pierwszej edycji. Jury pierwszej edycji Winiarki stanowiło kapitułę nagrody im. Andrzeja Krzysztofa Waśkiewicza: Anna Sobecka, Maria Wasik, Janusz Koniusz, Romuald Jabłoński i Marek Wawrzkiewicz (przewodniczący). Laureatem Winiarki w 2015 r. został Robert Rudiak, zielonogórski dokumentalista, historyk literatury. Postanowiono docenić jego książkę *Ruch literacki na Środkowym Nadodrzu w XX i XXI wieku*. W wyniku konkursu laureat wydał swoją *Umieralnię*, w której łączy fragmenty prozatorskie i poetyckie. Można powiedzieć, że ta nagroda pozwoliła powrócić R. Rudiakowi do form literackich (od ostatniej książki poetyckiej, *Zaproszenia do samobójstwa*, minęło 10 lat).

Od drugiej edycji postanowiono już przyznawać nagrodę za teksty niepublikowane wcześniej, opatrzone godłem. Startować mógł każdy, nawet jeśli nigdy nie widział Zielonej Góry na oczy. Na zwycięzcę czekała okazała statuetka wykonana przez zielonogórskiego rzeźbiarza, Roberta Tomaka. Jury obradowało tym razem w autonomicznym składzie: Barbara Konarska, Joanna Pytel, Katarzyna Meller, Alicja Błażyńska (sekretarz), Janusz Łastowiecki (przewodniczacy) i laureat pierwszej edycji, Robert Rudiak. Na drodze eliminacji pojawiło się kilkanaście tekstów. Nie brakło nużących lektur, prób nie zawsze czytelnych i przenikliwych. Obok nich pojawiły się i przebłyski udane. Halina

Ogłoszenie nazwiska laureata II edycji Winiarki. Od lewej: Janusz Łastowiecki (przewodniczący jury), Halina Bohuta-Stąpel, Agnieszka Leśniewska, Ryszard Błażyński oraz Alfred Siatecki

Statuetki przygotowane dla laureatów Nagrody Literackiej im. A. Waśkiewicza oraz zielonogóskiej Nagrody Literackiej Winiarka 2016.

Bohuta-Stąpel umiejętnie odczytała Andabatę, prowadząc z nim korespondencyjny, wierszowany dialog. Alfred Siatecki udowodnił po raz kolejny, że zna z imienia każdą ulicę, a nawet jest w stanie wprawić w życiowy ruch chłopca z konikiem (rzeźba sprzed Palmiarni). Pośród nadesłanych prac pojawił się jednak zestaw, który niejako na przekór chciał pozostać w opozycji. Nie wpisywał się ani w radykalnie zielonogórski trop beletrystyki spod znaku „zachwytu nad", ani nie rościł pretensji do bycia awangardowym odkryciem (przecież konkursy poetyckie opiewają w mniej lub bardziej trafione eksperymenty). Zestaw Agnieszki Leśniewskiej zainteresował, ponieważ był inny – nie przypominał żadnego z utartych, zielonogórskich szlaków literackich. Siłą tej poezji jest naostrzony nóż ironii, dystans względem rzucania słów na wiatr rozwleczonych fraz. Z oporem i rezerwą słychać tu miejski ton, ograniczony jedynie do przekornego czytania Winnego Grodu: „położona na siedmiu wzgórzach / a Rzym tylko na dwóch, / miasto i miastko, ciasno, / tu wystarczy barbarzyńca jeden". Podobnie, jak w przypadku R. Rudiaka, ta nagroda zwiastuje powrót poetki po dłuższej przerwie (ostatni jej tom ukazał się w 2005 r.). Do literackiej Zielonej Góry A. Leśniewska powróciła niczym barbarzyńca (tak jak w tytule cytowanego wiersza *Zielona Góra czeka na barbarzyńcę*). Taki musiał być chyba warunek nowego, poetyckiego otwarcia. Droga prowadzi tu przez kontrę, wejście pod prąd i trzeźwe napomnienie: „kolejny raz tłumaczę sąsiadowi: jeśli odejdą gołębie, koty / przyjdą po nas, zjedzą nas szczury". W obliczu obłędnej maniery pisania miejskich laurek taki rodzaj świadomości poetyckiej sprowadza na właściwe tory rolę i zasadność istnienia poezji lokalnej (choć nie ma tu rozróżnień o charakterze centrowo-peryferyjnym). Świadomość bycia stąd wcale nie musi iść w parze z popadaniem w mitomanię i kompleks niższości. Z drugiej strony droga przez hiperbolę i symbolizację miejsca staje się również prostą drogą do klęski. A. Leśniewska omija znane wcześniej rozstrzygnięcia i ucieka od natrętnej topografii. Jeśli szukać motywacji regionalnych, wyczujemy tu jednak świadomość historycznych paradoksów, jakie kryje miasto: „na rudach żelaza, na planie niemieckim, / przysadzisty ratusz w hełmie sowieckim". Utwory A. Leśniewskiej nie uciekają od bólu, nie próbują go sztucznie zasypać poprzez barokowy przesyt. Tak wytyczona ścieżka stwarza szanse na nowe otwarcie i przerwanie impasu w literackich poszukiwaniach pisarzy tego regionu, świadome wyjście poza kalki regionalne. Prawdziwym sprawdzianem tej poezji będzie jednak książka poetycka, której wydanie planowane jest na jesień 2017 r.

Pozostaje czekać, aż upłyną lata i nagroda Winiarki osiągnie prestiżowy poziom. Aby tak się stało, potrzebna jest ciągła praca i ewolucja. To pomysł, który może wypromować miasto, a przede wszystkim pisarzy na arenie ogólnopolskiej. Ważnym aspektem jest również otwarcie na pisarzy z innych regionów (do drugiej edycji zgłosił się twórca z drugiego końca Polski). I tym torem warto iść. Dwie pierwsze edycje przetarły szlak. Teraz nagroda musi się uniezależnić. Dotąd była przyznawana łącznie z nagrodą Związku Literatów Polskich im. Andrzeja Krzysztofa Waśkiewicza. Od tego roku finał Winiarki będzie osobnym wydarzeniem. A to wszystko w październiku, kiedy będzie miało miejsce trzecie już rozstrzygnięcie.

Robert Rudiak, laureat Winiarki 2015

fot. Alicja Błażyńska

Goscie z Gorzowa

Publiczność uczestnicząca w II Gali Literackiej

Agnieszka Leśniewska

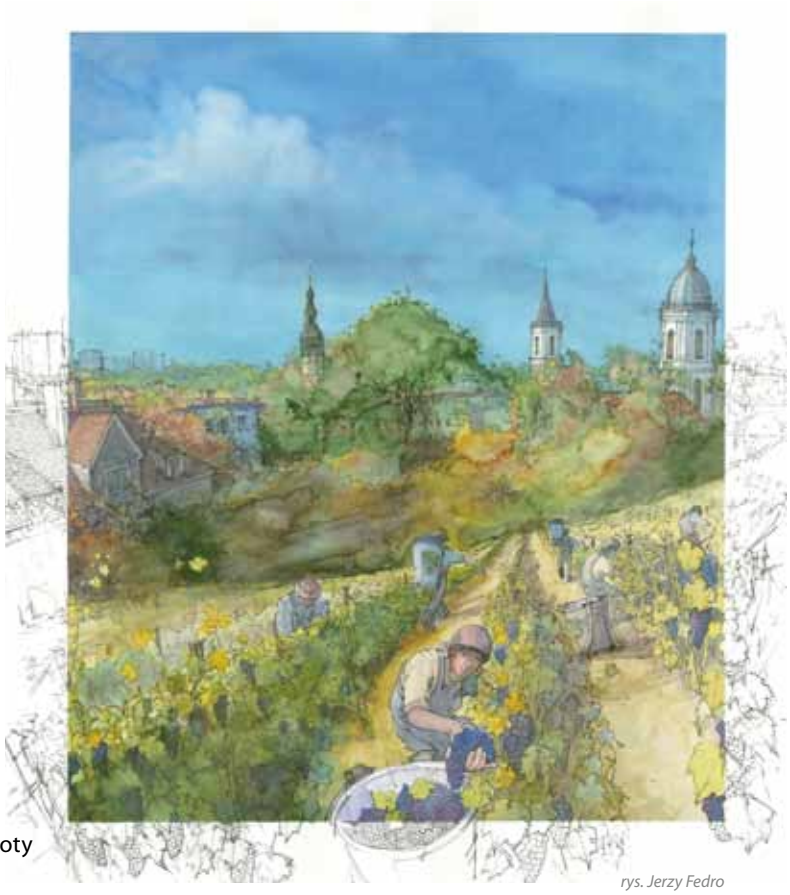

rys. Jerzy Fedro

Zielona Góra czeka na barbarzyńcę

– mirce i januszowi

położona na siedmiu wzgórzach,
a Rzym tylko na dwóch,
miasto i miastko, ciasno,
tu wystarczy barbarzyńca jeden.

na rudach żelaza, na planie niemieckim,
przysadzisty ratusz w hełmie sowieckim,
fragmenty murów obronnych jak stendy
podtrzymujące krwi obieg, na wschód
i zachód, na południe kościoły
środkiem teatr – ich wspólne tabernakulum,
opodal Bachus, prawie goły.

kolejny raz tłumaczę sąsiadowi: jeśli odejdą gołębie, koty
przyjdą po nas, zjedzą nas szczury.
kilkoro ciągle tych samych,
ciągnących za sznurek, nasi
górą i chmury,
obojętne chmury.

lekcja nauczania zintegrowanego

dawno minęły czasy świeżości,
już wszyscyśmy zrobili to pierwszy raz,
świadczą o tym mapy, plamy,
pamiętniki.
lądy leżą bezwstydnie
odkryte,
a nasza dusza częściej przypomina
pięść niż ptaka

dotarliśmy na brzeg piątego
oceanu, tu nasze konie spienione padły,
i zjedliśmy je, dłużej nie będą potrzebne,
zjedliśmy nawet ich imiona,
zabiliśmy wszystkich: buntowników
i dzieci, także tych, którzy przyjęli naszą religię
oni umierali najdłużej.

lekcja poezji

o czym rozmyślają drzewa w sadzie
gdy ich karki przygięte do ziemi ciężarem
owoców?

o młodych brzozach rozedrganych, rozśmianych
w tak skąpym listowiu, że prawie rozebranych,
o ich odsłoniętych do połowy
bladych udach?

albo jak zostać ościstą sosną
nigdy nie rodzić, prawie nie rosnąć?
gdyby tak być sosną ościstą
i tysiąc lat wytrwać na podobieństwo,
na pośmiewisko czasu?

że cóż jest piękniejszego niż wysokie drzewa?
dumnie unoszące koronę czy głowę
w posoce jesieni tonące nagle
jak purpurowe, fenickie żagle,
jak statki we mgle, jak ich martwe maszty,
kikuty wstrętne pod korą pamięci
cierpkie w nas po nich bóle fantomowe.

o czym rozmyślają drzewa w sadzie?
być może mają jedno pragnienie
– choć raz ukucnąć w swoim cieniu.

Halina Bohuta-Stąpel

Henryk Ankiewicz *Listy z Palmiarni*, str. 31-32: „Myślę, że każdy z mieszkańców Zielonej Góry ma takie okno, jak Hilary Gwizdała i każdy patrzy na swoje miasto przez to właśnie, a nie inne okno"

Sąsiadka z Fabrycznej

Kobieta, która kiedyś powiła mu syna
obnosi barchanną żoniność
jak generalskie dystynkcje

Porannym ziewnięciem
otwiera rubryki nudnawych tygodni

ziarenkami słonecznika i dyni
przełuskuje kolejne dni

pichci kartoflankę, smaży konfitury
i szarym spojrzeniem spogląda na świat
przez siną kuchenną szybę

jest gorliwym wyznawcą
kilku serialowych historii

wycierając kurze z podłogi
bije ochoczo pokłony
bożkowi o szklanym oku

bezbarwnym ruchem ścierki
rozprawia się z mizerią koronek
autorstwa domowych Arachne

a czasem
oprawna w okienną framugę
wspiera żylaste łokcie na szydełkowej poduszce
i syci się zapachem ulicy

Jej przynależność do tu i teraz
jest solidna jak kuchenna posadzka
i krucha jak stary pumeks

a zazdrosne sąsiadki ironizują
że tańczy wokół domowego ogniska
na plackach przyklapniętych bamboszy

Henryk Ankiewicz *Listy z Palmiarni*, str. 34-35: „Czy Zielonej Górze potrzebny jest teatr wielki? Otóż, twierdzę, chwilowo wystarcza mały – taki jaki jest"

Marcepan

zielonogórskim aktorom

Ofelia
za sześć godzin i dwadzieścia trzy minuty
stężeje w nurcie plastikowego strumienia
ale teraz
wymienia żwirek w kuwecie kota
spokojnie zdąży też sprawdzić pocztę e-mailową

Otello
dwie godziny i minut trzydzieści przed uduszeniem Desdemony
kupuje dla żony jedwabny szal
a jedynym kryterium wyboru prezentu jest jego kolor
bez znaczenia wytrzymałość mechaniczna

Hamlet
ściska rozpaczliwie w dłoniach własną czaszkę
stojąc w korku ulicznym.
Czy zdąży na czas po bliźniaki do żłobka?

Małgosia
nie przepada za Jasiem, ale trzy razy w tygodniu
potulnie podaje mu dłoń w drodze do piernikowej chatki
Małgosia lubi

Babę Jagę
Lubi przysiąść się do niej na małą czarną
i chrupać czekoladowe pierniczki
omawiając plany urlopowe na nadchodzący
sezon ogórkowy

A wnętrze kawiarenki niczemu się nie zdziwi

rys. Jerzy Fedro

Alfred Siatecki

Chłopiec z konikiem

Wolno, rozglądając się na obie strony, jakby coś zgubił, zszedł po schodach do miejsca, gdzie, odkąd pamięta, stoi figura z brązu. Jak niemal wszyscy, którzy tu przychodzą, jedną rękę położył na połyskującym w porannym słońcu grzbiecie konika, a kciukiem i palcem wskazującym drugiej chwycił chłopca za siusiorka, po czym sprawdził, czy na pewno nikt nie uszkodził rzeźby. Przeczucie mnie nie myliło, ucieszył się i dodał w myślach: A jednak miałem rację, że nie posłałem radiowozu na Strzelecką. Ale, bym się ośmieszył.

Dopiero teraz Syski zdał sobie sprawę z tego, że od urodzenia mieszka w Zielonej Górze i dotąd nie zainteresował się przeszłością miasta. To znaczy wiedział tyle, ile usłyszał jeszcze w liceum na Kilińskiego. We Wrocławiu, gdzie studiował prawo, i w Legionowie, gdzie uczył się policyjnego fachu, nikt nawet nie napomknął o dziejach Zielonej Góry. Na początku roku przeczytał w „Lubuskiej", że ukazała się ilustrowana opowieść o zielonogórskich pomnikach *Signum Temporis,* pióra Igora Myszkiewcza z fotografiami Władysława Czulaka. Nie wyobrażał sobie, żeby nie było w niej pogłębionej informacji o chłopcu i koniku. Przecież to najbardziej rozpoznawalny znak Zielonej Góry. Mimo oszronionych skroni Syski postanowił, że musi się dowiedzieć, kto, kiedy, gdzie, dlaczego i z czyjej inicjatywy wykonał tę rzeźbę. Artysta, który zanim wziął dłuto do ręki, wcześniej musiał studiować anatomię człowieka i podpatrywać zwierzęta. Musiał też, co komisarz uznał za istotniejsze, nadać postaciom odlanym w brązie tajemniczą moc. W śródmieściu jest wiele pomników, większych, wyznaczających trasy wycieczek, a mimo to każdy, kto wejdzie na zachodnią stronę Winnego Wzgórza, fotografuje się z chłopcem i konikiem. Ten, kto wykonał rzeźbę, musiał być pierwszorzędnym artystą i świetnym znawcą psychiki ludzkiej.

Skręcimy w lewo i zobaczysz miejsce, które było naszym drugim adresem. Tam przebywaliśmy dwanaście lat i pewnie byłaby to nasza kwatera na dłużej, może nawet na zawsze, gdyby nie ring bokserski – mówi chłopiec, gdy maszerują oświetlonym tunelem ulicy Piastów w Krośnie Odrzańskim. – Za tydzień zobaczymy jeszcze więcej.

To będzie trzecia wyprawa. Daleka i dłuższa. Najważniejsza, bo do kolebki. Tak powiedział ten, który podał się za Iluminautę i który znał tajemnicę naszego narodzenia, dlatego dał nam moc wędrowania. Zawsze z soboty na niedzielę mamy wybywać z Winnego Wzgórza. Za tydzień odwiedzimy miejsce, gdzie przyszliśmy na świat, cieszy się konik. Lubi te nocne stępowania, toltowania, kłusowania, galopowania, cwałowania, przemykania i poranne szybkie powroty na zachodnie zbocze Winnego Wzgórza.

– Najpierw zobaczysz dwa skrzydła szerokiej bramy. Zawsze są zamknięte. Przed nimi chodzi żołnierz w hełmie na głowie i z karabinem na ramieniu. Otwiera je tylko na czyjś rozkaz. Za bramą jest rozległy plac z czterech stron okolony budynkami. Kwaterują w nich żołnierze. Najpierw na czapkach nosili czarne orły trzymające w szponach wieniec, wewnątrz którego znajdowała się swastyka. Opinali się pasami z klamrą, na której był napis „Gott mit uns". Rozmawiali po niemiecku. Potem do koszar wprowadzili się inni żołnierze. Na czapkach mieli białe orzełki z rozpostartymi do lotu skrzydłami nad tarczą amazonek. Ci mówili po polsku.

Konik chce spytać, co robią żołnierze i dlaczego mieszkają w budynkach okalających rozległy plac za zamkniętą bramą, gdy chłopiec daje mu znak ręką, że za chwilę wszystkiego się dowie.

Wtedy miasto nazywało się Crossen an der Oder. Zielona Góra była Grünbergiem, Gorzów – Landsbergiem, Kostrzyn – Küstrinem. Berlin zawsze był Berlinem. W 1936 roku Berlin, stolica Rzeszy Niemieckiej, przygotowywał się do przeprowadzenia zawodów sportowych. Z tej okazji Międzynarodowy Komitet Olimpijski ogłosił konkurs artystyczny. Namówiony przez prezesa Izby Sztuki Rzeszy rzeźbiarz Hans Krűckeberg zdecydował się wziąć w nim udział. To imię i nazwisko musisz wryć sobie w pamięć. Nie pytaj o powód. Zaraz zrozumiesz, dlaczego jest ono takie ważne. Nawet bardzo ważne. Dla nas – najważniejsze. Słyszałeś, co i ja wiele razy słyszałem, że naszym ojcem jest austriacki rzeźbiarz Josef Thorak. Ten sam, którego odlane w brązie postacie stoją w Jagniątkowie na Dolnym Śląsku, Ustce nad Bałtykiem, Gdańsku, Zaskoczynie na Pomorzu. Na zamówienie władz Torunia Austriak wykonał pomnik Mikołaja Kopernika, który ostatecznie stanął w jego rodzinnym Salzburgu. Wiele razy słyszałeś od tych, którzy przychodzą nas oglądać na Winnym Wzgórzu, jak powtarzają za autorami przewodników dla turystów, że Thorak jest i naszym ojcem. To nieprawda. Pomiędzy tym, co stworzył Thorak i co powstało w pracowni naszego ojca, występuje wiele podobieństw, ale Austriak nie jest naszym ojcem.

Prawdziwym ojcem rzeźby *Chłopiec z konikiem* jest urodzony w 1878 roku w Treuenbrietzen koło Poczdamu, wychowanek berlińskiej Akademii Sztuki, Hans Krűckeberg. W czasach, kiedy w Niemczech obowiązywał kierunek przez krytyków sztuki nazywany narodowosocjalistycznym, nasz ojciec tworzył popiersia z brązu, posągi, płaskorzeźby, figury parkowe, postacie zwierząt w tradycyjnym, neoklasycystycznym stylu. Ojciec nie był ignorowany przez władze i kolegów rzeźbiarzy z Izby Sztuki Rzeszy, ale i nie zdobył uznania oficjalnej krytyki, chociaż bardzo się starał przypodobać jednym i drugim. Co innego sądzili zwyczajni odbiorcy odwiedzający galerie i parki, w których stały prace naszego ojca.

Co wyrzeźbić, żeby oczarować jurorów, berlińczyków, recenzentów i gości igrzysk? Z tym pytaniem Hans Krűckeberg mocował się tygodniami. Odpowiedzi nie było, aż którejś nocy, gdy księżyc był w pełni, obudził się i poczuł się tak, jakby ktoś wkradł się do jego głowy. Ten ktoś mimo że nie odezwał się słowem, kazał mu wstać, iść do pracowni i naszkicować to, co wyrzeźbi. Potem ojciec opowiadał swoim kolegom, że czuł jakby to nie on prowadził węgiel po szkicowniku. Jakby jakaś niewidoczna postać wzięła jego rękę i najpierw nakreśliła ciebie, potem mnie. Ani tego dnia, ani następnego dnia, ani przez kolejne dni Hans Krückeberg nie odrywał się od pracy. Zaniepokojona tym jego żona najpierw poprosiła o pomoc profesora

Weissffloga, zaprzyjaźnionego z rzeźbiarzami doktora psychiatrii, ale on zamiast postawić diagnozę, to, co się wydarzyło po tamtej nocy, uznał za wenę twórczą. Żadnemu rzeźbiarzowi nawet najlepszy lekarz nie jest potrzebny, a pani małżonek to wielki artysta, aczkolwiek jeszcze niedoceniony. Proszę zanosić do pracowni śniadania, obiady i kolacje.

Tak było do inauguracji igrzysk 1936 roku w Berlinie, kiedy odbyła się wystawa sztuki. Tam pierwszy raz pokazaliśmy się publicznie i od razu przy nas zaczęli się gromadzić berlińczycy. Jedni widzieli w tobie i we mnie odlane w brązie postacie wyrażające wręcz niemożliwy do okiełznania żywioł. Drudzy tylko arkadyjską młodość. Ponadto zwiedzający wystawę mnie podziwiali za niezwykle harmonijną, wręcz klasyczną sylwetkę. Dla wielu wojskowych stałem się wzorcem niemieckiego młodzieńca. Niejedna dziewczyna we mnie się zakochała. Twoja wyraźnie obronna postawa nie była obojętna zwiedzającym. I mimo że jesteśmy przyjaciółmi, od tamtego czasu nie chcesz dać się poskromić. Twoje nieokiełznanie przede wszystkim podoba się młodym, buntującym się przeciw nakazom, wzorcom, anachronicznym normom etycznym i prawnym.

Po zakończeniu igrzysk i wystawy ojciec zastanawiał się, gdzie nas umieścić. Mogliśmy zdobić ogród przy stadionie na Charlottenburgu albo któryś z berlińskich parków, nadal budzić podziw mieszkańców miasta i przyjezdnych, a szczególnie dziewczyn lubiących przy nas się fotografować. Wtedy starszy syn naszego ojca, porucznik w ówczesnym Krośnie, powiedział, że miejsce chłopca z konikiem powinno być zaraz za bramą koszar wojskowych. Żeby ci, którzy ją przekraczają, poczuli się pewniejsi siebie, i potem jako żołnierze mieli na kim się wzorować. Dowódcy batalionu piechoty, późniejszemu generałowi Eckhardowi von Geysie, pomysł adiutanta się spodobał. Późną jesienią 1936 roku stanęliśmy na postumencie za bramą koszar przy ulicy Piastów. Wtedy miała ona inną nazwę.

Od września 1939 roku zza murów tych koszar żołnierze wyruszali na front, ich miejsce zajmowali następni i następni. Zmieniali się dowódcy pułków, kolory mundurów żołnierzy, polska mowa zastąpiła język niemiecki, a mimo to myśmy stali w tym samym miejscu. Tak było do jesieni 1948 roku. Wtedy do dowódcy jednostki wojskowej 2597 zatelefonował komendant zielonogórskiej policji. Dzień później przyjechał trener bokserów z Zielonej Góry po zbędny w pułku, dlatego wyniesiony z sali sportowej na plac profesjonalny ring. Gdy żołnierze załadowali ring na zisa, trener spytał dowódcę, czy w koszarach jest jeszcze coś, co mógłby wypożyczyć, żeby turniej bokserski z okazji Winobrania miał okazałą oprawę. Pułkownik Karpowicz wzruszył ramionami, a towarzyszący mu adiutant pokazał głową na ciebie i na mnie. Jeszcze tego samego dnia zmieniliśmy adres: z placu za bramą przy ul. Piastów w Krośnie na skwer przy Strzeleckiej w Zielonej Górze. Mieliśmy tam postać kilka dni, do czasu zakończenia turnieju, i wrócić do Krosna. Staliśmy czternaście lat.

Czternaście lat później, kiedy do domku winiarskiego z czasów Augusta Gremplera dobudowano szklarnię i wstawiono do niej palmy, było wiadomo, że to miejsce podbije serca zielonogórzan i turystów. Wtedy nas przeniesiono na zachodnie zbocze Winnego Wzgórza, skąd rozciąga się widok na aleję Konstytucji 3 Maja i wyrastające w dali nowe miasto.

– To o wiele ładniejsze miejsce niż rozległy plac za bramą koszar i ocieniony dębami skwer przy Strzeleckiej. Bardzo mi się tu podoba – powiedział konik, pokazując głową na krzewy winorośli wygrzewających się w słońcu.

– Ty mówisz ludzkim głosem? – spytał zaskoczony chłopiec.

– Obiecuję, że będę mówić jedynie wtedy, kiedy będziemy sami na wzgórzu. I tylko ty będziesz mnie słyszeć.

Końcowe fragmenty opowiadania, za które jego autor był nominowany do Zielonogórskiej Nagrody Literackiej „Winiarka" w 2016 r.

Alfred Siatecki

Odszedł poeta zostały jego wiersze

Pozostanie po mnie tylko
akt zgonu
napisany cudzą ręką
mój jedyny wiersz
w którym każde słowo
będzie ostateczne
jak życie
i śmierć

– to napisał Janusz Koniusz, poeta przede wszystkim, ale i prozaik, publicysta, autor słuchowisk i sztuk scenicznych.

Wiersz *Akt zgonu* umieścił w zbiorku *Po wyjściu z arki*, który ukazał się w 2007 r. Jest w tym tomiku wiele utworów osobistych. Zresztą każdy poeta to osobiste sprawy. Inaczej nie da się pisać wierszy. Nie wiem, co sądził jego autor o tym zbiorku. Ja *Po wyjściu z arki* uważam za najbardziej dojrzałą rzecz, jaka powstała w głowie Janusza. Najbardziej osobistą. I najbardziej potrzebną. Dlatego najczęściej do niej zaglądam. Mam ją na półce z dedykacją „Alfredowi – jako skromny rewanż za jego brawurową i błyskotliwą *Noc poślubną* na dalszą, serdeczną przyjaźń".

Byliśmy chyba jednak bardziej kolegami, w latach osiemdziesiątych kolegami w redakcji dwutygodnika „Nadodrze" i władzach Lubuskiego Towarzystwa Kultury. Tzn. w „Nadodrzu" Janusz był moim szefem. Był też moim szefem w Związku Literatów Polskich. On został przyjęty do ZLP w 1961 r., kiedy powstał oddział w Zielonej Górze. Ja w 1985 r. Na początku lat dziewięćdziesiątych zostałem prezesem oddziału tylko dlatego, że Janusz przekonał członków, że skoro Polska się zmieniła, powinien zmienić się prezes. Później, kiedy ewolucja-rewolucja przygasła, zgodził się być w zarządzie oddziału jako wiceprezes, a może bardziej jako mistrz, autorytet. Trzy lata temu, kiedy zaczął narzekać na zdrowie, został prezesem honorowym zielonogórskiego oddziału ZLP. To tylko godność, bo w zasadzie zawsze był tym, który chciał doradzić i potrafił tak to zrobić, że nikt spośród członków Związku mu się nie sprzeciwił.

Piszę o Januszu – był. Był do 29 marca 2017 r. Tego dnia zmarł w Zielonej Górze. Miał 83 lata.

Najpierw poznałem jego twórczość prozatorską, potem poetycką i na końcu już jako zielonogórzanin osobiście. Z jego twórczością zaznajomiłem się jeszcze jako licealista, kiedy polonistka kazała przeczytać coś współczesnego autora. Dziewczyny rzuciły się na *Lato nagich dziewcząt* Fleszarowej-Muskat, chłopaki na tomy z Tomkiem Szklarskiego albo coś Żukrowskiego czy Paukszty. W Chojnie, gdzie było moje liceum, a to dawne województwo szczecińskie, czytałem „Nadodrze". Do kiosku na stacji kolejowej przychodził jeden egzemplarz dwutygodnika. Chyba byłem jedynym czytelnikiem „Nadodrza" w powiatowej Chojnie. Może dlatego kioskarka odkładała pismo, bo wiedziała, że co dwa tygodnie, zawsze w czwartek po lekcjach, przyjdę z 2 złotymi. Gdy więc polonistka kazała przeczytać coś współczesnego autora, przeczytałem opowiadanie zamieszczone w „Nadodrzu". Przeczytałem, wyjaśniłem, dlaczego opowiadanie mnie zachwyciło i powiedziałem kilka dosłownie słów o autorze. Janusz Koniusz? Polonistka nie dowierzała, że jest taki pisarz. To pokazałem „Nadodrze". Całą stronę zajmowało opowiadanie *Portret* z ilustracją Klema Felchnerowskiego. W 1964 r. polonistka mogła nie słyszeć o Januszu Koniuszu. Był on tylko autorem zbiorku opowiadań *Wakacje z Julią* i trzech tomików wierszy. Miał dopiero 32 lata. Gdybym teraz spotkał moja polonistkę z liceum, powiedziałbym, że Janusz Koniusz to najbardziej znany twórca w Zielonej Górze. Pierwsza liga polskich poetów. Napisał ćwierć setki książek, dziesięć słuchowisk wyemitowanych przez Polskie Radio, sztukę sceniczną, opracował i zredagował co najmniej dwadzieścia antologii, zbiorów pamiętników, wspomnień. Nie znam nikogo, kto potrafi zliczyć teksty publicystyczne Honorowego Obywatela Zielonej Góry.

Przywołany na początku zbiorek *Po wyjściu z arki* zamyka wiersz *Prośba*: „Tę garść prochu / na ziemi rozsyp // Z tobą będę / na każdym kroku / abyś się nie potknęła / o widzialne / o niewidzialne".

Sylwester Woźniak

Bezsensu jednak ma sens

Tylko nieliczni umiejscowią Zieloną Górę na undegroundowej mapie Polski. Z Winnym Grodem związanych jest kilka znanych zespołów grających muzykę (nie)popularną. W Domu Studenckim „Wcześniak" swoje próby miał zespół Raz, Dwa, Trzy. Z Zielonej Góry wywodzi się gitarzysta grupy Hey.

Uniwersytet Zielonogórski kształci muzyków jazzowych, którzy później rozsławiają to miasto wśród swoich fanów. Oprócz tego istnieją liczne garaże, salki, świetlice szkolne, parafialne, gdzie swoje umiejętności szlifują liczni muzycy alternatywni. W związku z tym nie może dziwić fakt, że Winny Gród to ważny punkt na mapie niepopowego grania.

Jednym z przedstawicieli zielonogórskiego undergrondu jest zespół Bezsensu. Został on założony w 2006 roku przez Arkadiusza Tydę. Była to wówczas jedna z wielu podwórkowych kapel rockowych. Za oficjalny rok powstania zespołu należy przyjąć 2010, kiedy to do składu dołączył perkusista Krzysztof Gryszczuk. Rok później grupa doczekała się swojego pierwszego dużego sukcesu. Zwyciężyła w konkursie Scena Machiny. Jego idea polegała na graniu supportów przed wylosowanymi zespołami i tym samym zmierzenie się z przeciwnikami. Zielonogórzanie zagrali m.in. przed: Pogodno, Muchami,

Kombajnem do Zbierania Kur po Wioskach, Tymonem Tymańskim. Nagrodą był występ w warszawskiej Stodole przed gigantem polskiej sceny alternatywnej Myslovitz. W 2011 r., po publikacji piosenki *Niezawieszona*, Bezsensu został wyróżniony II miejscem w konkursie Piosenka Roku przez portal Uwolnij Muzykę. W tym samym roku Bezsensu został dostrzeżony przez „Gazetę Lubuską" w Plebiscycie na Najlepszy zespół nie tylko rockowy. Grupa otrzymała I miejsce. Jej piosenka *Czy jedziesz ze mną?* wygrała konkurs organizowany przez muzyczne czasopismo „Machina" – Letni Hit Machiny.

Po udanym starcie następne lata przyniosły dalsze sukcesy. W 2012 r. zespół wziął udział w Open'er Air Festival w Gdyni i w Slot Air Festival. W marcu 2013 r. ukazała się debiutancka płyta grupy *Co tam myślisz?*, która zyskała liczne przychylne recenzje m.in. w czasopismach: „Tylko Rock", „Gitarzysta" oraz na portalach internetowych Szafa Muzyczna, We Are Poland. Piosenki promujące album były grane w radiu Eska Rock. Wyznacznikiem popularności i dobrego niekomercyjnego gustu muzycznego od lat jest Trzeci Program Polskiego Radia. Często zespoły prezentowane na falach tej rozgłośni zyskują ogólnokrajową popularność. I tak było tym razem. Bezsensu dwukrotnie (w 2014 i 2015 r.) został wybrany przez radiową Trójkę i Piotra Stelmacha do otworzenia oprawy muzycznej podczas prestiżowej imprezy Orlen Warsaw Marathon. Równocześnie radio i P. Stelmach podjęli się promowania zielonogórzan. Dlatego w 2014 r. zespół pod kierunkiem Jacka Szarbińskiego rozpoczął pracę nad nowym albumem. Jak przystało na undergrondową kapelę, powstał on przy wsparciu finansowym fanów, nie zaś wielkich korporacji i wytwórni płytowych. Pieniądze były zbierane przez portal crowdfundingowy PolakPotrafi.pl. Nowa płyta nosiła tytuł *Wszystko i nie tylko Wszystko*. Szybko zdobyła dużą popularność wśród melomanów. W maju 2015 r. zespół miał okazję zaprezentować się w Telexpresie, w 2016 r. został zwycięzcą konkursu Hej Fest, który odbył się na Gubałówce. Wówczas Bezsensu zagrało przed takimi wykonawcami jak: Perfect, Lemon, Mela Koteluk czy przed Krzysztofem Cugowskim i zespołem Bracia. W latach 2015-2016 muzycy mieli napięty sezon koncertowy. Zagrali m.in.: w Jarocinie, na kolejnej edycji Open'er Festival, towarzyszyli w trasie koncertowej zespołowi Happysad.

Można zastanawiać się nad przyczynami sukcesu grupy Bezsensu, ale to nic nie da. Dopiero przesłuchanie obu płyt pozwala zrozumieć fenomen tej grupy. Łagodne, gitarowe rytmy alternatywnego rocka i indiepopu są niejako tylko tłem do tego co najważniejsze, czyli tekstów. Ich twórcą jest A. Tyda, który opisuje immamentny świat ludzkiej psychiki i otaczającej jej materialnej rzeczywistości. Słowa jego piosenek stanowią małe traktaty filozoficzne dotyczące ludzkiej egzystencji, zmagań człowieka z życiem, poznania własnego „ja". Pozornie warstwa tekstowa może wydawać się pesymistyczna, jednak po dokładnym wgłębieniu się w słowa można wywnioskować coś przeciwnego. Teksty pokazują, że nasze życie ma sens, że należy kochać samego siebie takim, jakim się jest, że potrzeba dbać o miłość i przyjaźń. Oczywiście jest to jedna z wielu możliwych interpretacji. Wieloznaczność jest cechą charakterystyczną dla twórczości zielonogórskiego zespołu, co sprawia, że jest ona o wiele ambitniejsza, niż muzyka grana na co dzień w radiu czy w telewizji.

Radosław Domke

Zapomniany świat studenckich klubow

Tak się złożyło, że w ostatnim roku zeszłego stulecia rozpocząłem studia w kampusie Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Zielonej Górze, obecnie kampusie B Uniwersytetu Zielonogórskiego. Od tamtego czasu silnie związałem się z tą częścią miasta, obserwując rozwój, a później upadek okolicznej infrastruktury.

Swe retrospektywne rozważania pozwolę sobie rozpocząć od infrastruktury dydaktycznej, która była wówczas immanentnie związana z infrastrukturą rozrywkowo-kulturalną kampusu B, czyli dawną WySPą. Wyspa, a właściwie mały archipelag, składała się z budynku głównego (dziś A-16), zwanego po prostu głównym, Neofilologicum (dziś A-20), zwanego Neo bądź Titanikiem. Zapewne niewielu dziś już pamięta, skąd ten przydomek, spieszę więc objaśniać. Otóż wkrótce po powstaniu budynku (lata 90. XX wieku) eksperci zaobserwowali, że Neo… tonie [sic!]. Dosłownie gmach z każdym rokiem zapadał się w wilgotniej glebie, co sugerowało powtórkę smutnego losu statku sprzed niemalże stu lat. Cóż, albo trochę przesadzili, albo ktoś zaradził temu nieszczęściu, gdyż obecnie okna nie znajdują się na poziomie łydek przechodniów, a szacunki groziły takim stanem rzeczy.

Między głównym a Neo, mniej więcej na terenie obecnej biblioteki, stał tzw. pawilon. Groteskowa budowla, w latach 80. służąca celom szkolnictwa podstawowego, później zaadoptowana dla potrzeb zielonogórskich żaków. Oprócz tych gmachów w niedalekim sąsiedztwie, może nie za górami, ale za wieloma drzewami, gdyż było to przed ich wyrębem, znajdowały się dwa akademiki. Viceversal (Etiopia, Mały) i Wcześniak, tzw. Duży. Hen, hen daleko, w stronę os. Zacisze mieściła się jeszcze część sportowa budynku z salą gimnastyczną i szatniami oraz przyległe do niego boiska. Ot i wszystko… Ale czy na pewno?

To była dopiero, parafrazując Marksa, baza dla nadbudowy rozrywkowo-kulturalnej tego minimiasteczka. Otóż, jak w wielu innych miasteczkach akademickich, życie studenckie rozpoczynało się często po godzinie 18.00, by czasem toczyć się do białego rana.

W tej części omówimy więc kultowe miejsce, których tak dziś brak na kampusie brakuje.

Gęba

Jedna z ostatnich pozostałych enklaw, mieszcząca się w małym akademiku na pierwszym piętrze. Tradycje kabaretowe były długie na dawnej WSP, a właśnie w tym klubie pierwsze szlify zdobywał legendarny kabaret Potem czy takie gwiazdy jak chociażby Grzegorz Halama. W Gębie odbywały się cykliczne imprezy, a w dzień powszedni można było po prostu przyjść tam na tanie piwo lub kawę, posiedzieć na starych

kanapach, pamiętających PRL, nierzadko pouczyć się do sesji, gdy współlokator był zbyt głośny.

Kotłownia

Drugi z bastionów, który ostał się w szczątkowej formie, jako studencki klub Wyspa. Wówczas był to lokal o w miarę podobnym wystroju i identycznym metrażu, jednak tętniący życiem. Czynny również w ciągu dnia, nie tylko wieczorami przyciągał studentów do swego słynnego ogródka, do którego zaglądała po zajęciach i kadra. Wieczorami zaś odbywały się dyskoteki oraz imprezy tematyczne (np. zloty Depeche Mode, ale to trochę później). Po latach prosperity szacowny Gancarz sprzedał lokal Tomkowi (Ivenowi), później przybudówka małego akademika zionęła chłodem, by znów w bliższych nam czasach odkryć swe podwoje, jako wspomniana Wyspa już na pół gwizdka.

Zatem

To już żywa legenda naszego kampusu. Klub wkomponowany był w budynek dużego akademika, na parterze. Można było wejść do niego od strony portierni bądź tylnym wejściem. Styl lokalu siedząco-taneczny. W jednej części był bar i stoliki, w drugim, niewielkim pomieszczeniu parkiet taneczny, gdzie niekiedy „urzędował" DJ. Raczej przychodziło się tam całą paczką, która okupowała jeden bądź dwa stoliki, podyskutować o mniej bądź bardziej poważnych sprawach, w przerwach zaś porywało się koleżankę na parkiet, by później strudzonym wrócić do ławy rozentuzjazmowanych dyskutantów. Muzyka była tam optymalna dla każdego. Dominował polski rock, disco (chociaż nie polo); rzadziej metal, reggae i hip-hop.

Karton

Sąsiad Zatem-u, gdyż znajdował się zaledwie kilkanaście metrów od niego, tylko wejście było osobne. Niestety nikt nie wpadł na to, aby połączyć jakoś oba kluby tajnym przejściem, ale i tak klientela znudzona jednym, mogła szybko przenieść się do drugiego. Często, niejako w ramach przesiadki, siadało się na pobliskim murku, gdzie można było zaobserwować migracje imprezowiczów. Karton był zdecydowanie bardziej taneczny. Często wchodząc, wpływało się w ocean ludzi i zwykłe udanie się do baru wymagało ostrej ekwilibrystyki. Muzyka jak na typ lokalu była bardziej skoczna i zdecydowanie głośniejsza. Oba kluby prosperowały nierzadko do białego rana. Najpopularniejszymi dniami były wtorek i czwartek, co po dziś dzień jest pewnym *signum temporis* studenckiego grafiku imprezowego. Dlaczego nie piątek i sobota, spytałby niekiedy obserwator. Otóż również, wnikliwy czytelniku, tyle że weekend był okresem, kiedy akademiki pustoszały, a żacy udawali się wtedy do rodziny po zapasy pożywienia oraz szerzyć dobrą nowinę o pozytywnym przebiegu edukacji.

Zielona Rosja z Poznania zwycięzca krajowego festiwalu podróżniczego Zielone Globy w klubie Gęba, (fot. Archiwum ZLOP)

Highlanader

Kampus nie oznaczał terytorium ściśle przylegającego do infrastruktury, tudzież stanowiącego jej integralną część. Po drugiej stronie ulicy, w stronę osiedla Przyjaźni rozpościerały się dalsze zagłębia rozrywkowe. Najbliższym był pub celtycki Highlander, zwany Hajem. Wystrój był nietypowy, siedziało się na okrężnych ławeczkach w wydrążonych beczkach. Klub również posiadał parkiet taneczny, wyodrębniony w osobnej sali. Muzyka była podobna, może bardziej trendy aniżeli studenckie hity, czasem trącące myszką.

Studio

Jeden z ostatnich na liście, chociaż w zasadzie klub zaliczał się do kampusu jedną nogą. Był bowiem troszkę oddalony oraz przypominał zwykłą miejską dyskotekę, z muzyką techno i klatką w środku. Niemniej jednak, ze względu na geografię również był miejscem, które należało rozważać snując plany na długie wieczory.

Wreszcie zagadkowy Klub Kibica, który pojawił się około 2004 r. od strony pizzerii Papa. Był bardzo blisko Wyspy, dlatego nie wypadałoby o nim nie wspomnieć, jednak relatywnie szybko zamknął swe podwoje. Trochę dalej był pub zwany Centralą, jednak musi pozostać poza naszymi rozważaniami, gdyż nie znajdował się na liście studenckiego klubingu. Ze względu na co, trudno powiedzieć, może zbytnio osiedlową klientelę.

Na koniec informacje ogólne, tyczące się większości, jeśli nie wszystkich omówionych lokali. Przede wszystkim praktycznie wszędzie można było palić. Niczym w PRL, palono przy barze, na zewnątrz, na parkiecie obok toalet. Może inaczej, trudno byłoby znaleźć miejsce poza szeroko pojętym kampusem, gdzie się nie paliło, pomijając ewidentne części naukowo-dydaktyczne.

Kolejną kwestią podsumowującą były odległości. Wszędzie szło się dosłownie kilka kroków, zimą można było ciepło się nie ubierać, cała okolica tętniła życiem i kusiła spragnionych klientów.

Na zakończenie kilka wniosków. Wszystkie knajpy tworzyły spójny ekosystem, budujący skomplikowaną sieć więzów łączących społeczność lokalną. Gdzie by się nie poszło, spotykało się znajomych, grała ta sama muzyka, witały nas znajome zapachy, swoisty mieszanina mebli, nikotyny, perfum i alkoholi. Słowem, kampus był prawdziwym kampusem, minimiasteczkiem, którego nie trzeba było opuszczać, by po nauce się wyżywić oraz rozerwać.

A teraz apel wołającego na pustkowiu o czynniki, które pomogłyby wznowić ten wspaniały zapomniany świat. W kampusie A infrastruktura jaka była, taka jest. Klub U Ojca, są pobliskie puby po drugiej stronie ulicy. A w kampusie B dzika pustka. Trzeba się oddalić o kilka kilometrów, żeby napić się piwa. A przecież inicjatywa jest zdaje się tak prosta: trzeba sięgnąć marketingowym okiem po budynek mogący odkryć dawną muzykę niezapomnianych przebojów Zatem, Kartonu i Highlanadera.

Sylwester Woźniak

Narodziny miłości

Swojego czasu miałem przyjemność uczyć się języka obcego przy pomocy internetu. Lekcji udzielała mi pani mieszkająca w Białymstoku. Bardzo ucieszyła się, że ma ucznia z przeciwległej ściany Polski. Zielona Góra kojarzyła się jej z winnicami, parkami i kabaretem. Wydaje mi się, że takie skojarzenie jest typowe dla większości Polaków.

Z tego powodu warto poznać dzieje zielonogórskiego kabaretu, który stał się częścią naszej regionalnej świadomości. Okazuje się jednak, że jego początki giną w odmętach historii. W chwili obecnej brakuje monografii poświęconej temu zagadnieniu. Więc kiedy Winny Gród i sztuka przez wielkie „K" stały się jednym ciałem i duszą?

Tablica na kamienicy przy ul. Kupieckiej 25, naprzeciwko hotelu Śródmiejskiego

W zasadzie trudno jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie. Wiadomo jednak, że już w przedwojennym Grünbergu powstały pierwsze podwaliny pod tą relację. Duże znaczenie ma fakt, że z naszego miasta wywodzi się Otto Julius Bierbaum (1865-1910), który uchodzi za jednego z pionierów kabaretu literackiego. Jego liczne prace teoretyczne stały się mocnym fundamentem, na którym budowana jest obecnie sztuka rozśmieszania ludzi. Pierwsze przedstawienia kabaretowe w mieście związane są z datą 1 kwietnia 1931 r. Wówczas to przy reprezentacyjnej Bahnhoffstrasse (dzisiejsza al. Niepodległości) stanął teatr. Nie była to jednak świątynia sztuki z prawdziwego zdarzenia, bowiem wówczas miasto nie było dużym ośrodkiem i jego władze nie mogły sobie pozwolić na zatrudnienie zawodowej grupy teatralnej. Budynek stał się miejscem występu różnorodnych amatorskich grup scenicznych. Można przypuszczać, że prezentowały one repertuar lekki i zabawny, określany dzisiaj kabaretem. Jak widać Grünberg nie był miejscem, gdzie mogła narodzić się „podkasana muza".

Sytuacja znacząco zmieniła się po 1945 r. Wiatr zmian dziejowych spowodował, że miasto musiała opuścić ludność niemiecka, zaś w jej miejsce przybyła ludność z niemal całej przedwojennej Polski. Brak zniszczeń spowodował, że Gród Bachusa przyciągał inteligencję z dużych ośrodków miejskich, jak np. Krakowa, Lwowa czy Poznania. Zielonagóra (taką nazwę nosiło miasto zaraz po wojnie) była określana namiastką Paryża. Działo się tak dzięki możliwości prowadzenia bujnego życia towarzyskiego i kulturalnego. W mieście działały liczne knajpki, gdzie były organizowane przedstawienia amatorskie, zaś najważniejsze były te, w których zbierała się i tworzyła ówczesna inteligencja. Jednym z takich lokali był Pod Białym Orłem, gdzie w co drugą sobotę odbywały się wieczorki oferujące łatwy i przyjemny program. Dla odmiany, w kawiarni Centralna położnej przy ul. Generalissimusa Stalina (dziś al. Niepodległości) swoje koncerty dawali dwaj sławni muzycy: skrzypek Paweł Stróżek i prof. Lepieszo. Warszawianka na pl. Lenina (dzisiaj pl. Pocztowym) oferowała repertuar „Teatrzyku poezji". Jednak najważniejszym miejscem dla zielonogórskiej bohemy była Polonia. Znajdowała się przy ul. Kopernika i popularnie nazywana była U Michalika, w celu odróżnienia jej od drugiej Polonii mieszczącej się w ratuszu. I właśnie tutaj były organizowane „Podwieczorki przy mikrofonie". Właśnie U Michalika w 1947 r. dał swój pierwszy występ kabaret z prawdziwego zdarzenia – Zielony Kot.

Grupa swoje początki bierze w 1946 r. Powstała przypadkowo. Według mitu założycielskiego, pewnego słonecznego niedzielnego popołudnia pracownicy zielonogórskiego starostwa – Henryk Greb i Wiesław Müldner-Nieckowski – wybrali się na spacer ul. Jelenią. Spotkali tam Mieczysława Turskiego i Wacława Oźmińskiego. Zdesperowany H. Greb poprosił przypadkowych przechodniów o pomoc we wniesieniu mebli do mieszkania. Musieli się sprawić znakomicie, skoro pani Greb zaprosiła wszystkich na butelkę regionalnego wina. Trunek sprawił, że rozwiązały się języki i poprawiły się humory. W trakcie spotkania H. Greb zaczął recytować fraszki swego autorstwa. Wówczas to Nieckowski zaproponował założenie kabaretu. Jego nazwa – Zielony Kot – powstała od malowidła pozostawionego na klatce jednej z zielonogórskich kamienic. W skład zespołu, oprócz wyżej wymienionych, wchodzili również: tenor W. Chomiak, sopranistka H. Nowacka i I. Zagórska. Za wesołków robili M. Turski z W. Oźmińskim, za przygotowanie tekstów odpowiadał H. Greb. Program zespołu był osadzony w zielonogórskich realiach, przepojony licznymi nawiązaniami do świata literatury. Winobranie 1947 r. dało Zielonemu Kotowi szerszą możliwość pokazania się mieszkańcom miasta. Grupa zdobyła dużą popularność w mieście i poza nim. Jego repertuar jest zaliczany do klasyki gatunku.

Narodziny związku kabaretu i Zielonej Góry nie były pozbawione nutki romantyczności oraz przypadkowości. Sztuka rozśmieszania, jaką znamy dzisiaj, jest związana z powstaniem w mieście szkół wyższych oraz z kwitnącym wśród społeczności akademickiej życiem artystycznym. Jest to jednak całkiem inna opowieść…

Grzegorz Biszczanik

Dzielnica, która była wsią

Chynów jest jedną z najstarszych dzielnic Winnego Grodu. Będący dawniej wsią kościelną i miejską, posiada historię równie starą i burzliwą jak historia samej Zielonej Góry.

Pierwszy raz Chynów (Kynau) został wymieniony w 1428 r. przez Henryka IX Kożuchowskiego. Wówczas był on dużą i bogatą wsią, skoro sprawujący władzę nad parafią św. Jadwigi w Zielonej Górze potwierdzał proboszczowi wszystkie prawa i przywileje z posiadania Chynowa. Chynowską przynależność do zielonogórskiej parafii potwierdzali także augustianie z Żagania, sprawujący opiekę nad okolicznymi kościołami.

Pocztówka przedstawiająca najciekawsze obiekty Chynowa w 1900 r., ze zbiorów Autora

Wieś przynosiła ogromne prebenda właścicielowi z powodu uprawy winorośli, pobierania opłat sądowniczych, celnych oraz eksploatacji wiatraków, a także młynów znajdujących się w okolicy.

Między probostwem a Zieloną Górą bardzo często dochodziło do zatargów dotyczących wycinki drzew. Od początku XIV wieku Zielona Góra miała prawo do wyrębu drzew w okolicznych lasach, również w tych znajdujących się w okolicy Chynowa. Spowodowane to było faktem, że Henryk III Głogowski nadał Zielonej Górze specjalny przywilej zezwalający na eksploatację terenów leśnych. Jednak przywilej ten został zakwestionowany przez proboszcza parafii, który twierdząc, że nie dotyczy on lasów chynowskich, wywołał zatarg. W 1429 r. było blisko wybuchu konfliktu zbrojnego pomiędzy Zieloną Góra a Chynowem. Ów spór został załagodzony przez opata Johanesa Greifenbergera, który pogodził obie strony, rekompensując plebanowi straty w postaci opłaty rocznej, wynoszącej dwie kopy groszy praskich, a miastu zezwalając na wyrąb lasów. Decyzja została zatwierdzona przez Henryka IX w 1430 r. i ostatecznie zakończyła kryzys.

Na początku XVI w. Zielona Góra nabyła prawa i korzyści z posiadania wsi za 200 dukatów. W ten sposób Chynów stał się wsią kameralną i miał taki status aż do 1808 r.

Chynów był zamieszkany w zdecydowanej większości przez ludność pochodzenia polskiego lub przez polskich protestantów. W związku z tym przeważającym językiem we wsi był polski. Fakt ten potwierdzają wszystkie znane kroniki miejskie.

Okres wojny trzydziestoletniej był bardzo trudny dla Chynowa, gdyż miejscowość została poważnie zniszczona. W 1629 r. okupowana była przez regiment Ivana von Lichtensteina, słynącego z okrucieństwa wobec mieszkańców, niszczenia miast i wsi. W tym czasie w Chynowie dochodziło do licznych gwałtów, podpaleń oraz morderstw ludności cywilnej, a przy okazji pułk siłowo próbował rekatolizować wieś. Kolejny trudny okres Chynów przeżywał w latach wojny siedmioletniej, a szczególnie w 1759 r. Wtenczas stacjonowały tu wojska rosyjskie pod dowództwem Nikołaja Sałtykowa. Rosjanie przed opuszczeniem wsi najpierw ją splądrowali, a następnie doszczętnie spalili zabudowania. Wieś była także miejscem stacjonowania francuskich oddziałów marszałka Clauda Victora-Perrina, co także nie przyczyniło się do jej rozwoju. Wojna francusko-pruska spowodowała mobilizację męskiej części ludności, z której duża liczba mężczyzn już nie powróciła. Ku chwale poległym przy miejscowej szkole ustawiono charakterystyczny pomnik poległych w tym konflikcie.

Warto nadmienić, że w XIX w. we wsi funkcjonowała kopalnia węgla brunatnego, która, posiadając jednak skąpe złoża, szybko je wyeksploatowała i została zamknięta.

Początek XX w. to stopniowy przyrost mieszkańców, którzy w większości byli protestantami. Zgodnie ze spisem ludności z 1900 r. w Chynowie (Kühnau) przeważały polsko brzmiące nazwiska, m.in. Adamek, Pietrzak, Kulesza. Podstawowym językiem był jednak niemiecki.

Po przegranej przez Niemcy I wojnie światowej, w latach 1919-1920 ustalano na nowo granice prowincji i zadecydowano, że Chynów (Kühnau) pozostanie we władaniu pruskim. Wieś weszła w skład rejencji legnickiej w nowo powstałej prowincji dolnośląskiej. Chynów leżał w granicach III Rzeszy, kiedy to w lutym 1945 r. wkroczyła Armia Czerwona.

W wyniku konferencji jałtańskiej wieś znalazła się w granicach Polski, w nowopowstałym województwie poznańskim, zmieniając nazwę na teraźniejszą. Niemieckich mieszkańców przymusowo wysiedlano za Odrę. W związku z reformą administracyjną w 1950 r. Chynów znalazł się w województwie zielonogórskim. 1 stycznia 1962 r. został włączony do Zielonej Góry, tworząc nową dzielnicę.

Alina Polak

Wilhelm Levysohn z „Grünberger Wochenblatt”

Zielonogórski tygodnik „Grünberger Wochenblatt” nieodłącznie kojarzy się z Wilhelmem Levysohnem, którego firma wydawała pismo do początku lat 30. XIX w.

Ten prawnik, parlamentarzysta, a zarazem księgarz i wydawca urodził się 13 czerwca 1815 roku w bogatej żydowskiej rodzinie w Głogowie. Studiował na wydziale prawa Uniwersytetu Berlińskiego. Zawarte tam przyjaźnie miały ogromny wpływ na jego światopogląd i postawę. W prowadzonym przez profesora historii państwa i prawa Fryderyka Karola do Savigny salonie polityczno-literackim poznał najwybitniejszych przedstawicieli ówczesnej niemieckiej inteligencji. W 1836 r., w wieku 21 lat otrzymał tytuł doktora nauk prawnych, jednak nie widział dla siebie miejsca w palestrze, a ponadto z powodu swego żydowskiego pochodzenia miałby duże problemy z podjęciem kariery jurysty. Jeszcze w tym samym roku wrócił do Głogowa i rozpoczął naukę zawodu księgarza u wydawcy Henryka Prausnitza, terminował także u Kornów we Wrocławiu. Nawiązał kontakty z przebywającymi na emigracji Polakami, co silnie zaważyło na jego polonofilskiej postawie. W 1837 r. postanowił przenieść się do Grünberga. Tutaj bowiem jego ojciec, Samuel Levysohn, posiadał dom oraz udziały w zakładzie drukarskim prowadzonym przez M.W. Sieberta, znajdującym się przy dzisiejszym pl. Pocztowym. Wilhelm szybko zajął się redagowaniem wydawanego od 1825 r. tygodnika „Grünberger Wochenblatt”, który drukowany był we wspomnianym zakładzie. Format periodyku został zachowany. Nowy wydawca w 1843 r. zwiększył jego nakład do 450 egz., a częstotliwość ukazywania się do trzech razy w tygodniu. Pismo kolportowano do okolicznych miejscowości, m.in. Nowej Soli i Kożuchowa. W 1839 r. otworzył pierwszą w mieście księgarnię z prawdziwego zdarzenia.

Tablica na budynku przy pl. Pocztowym, w którym mieściła się redakcja „Grünberger Wochenblatt”

Rok później ożenił się z głogowianką Filipiną Bernhardt, kobietą wykształconą i samodzielną, która urodziła mu czterech synów. Jej śmierć w 1854 r. pogrążyła Wilhelma w depresji, z której nigdy do końca się nie otrząsnął.

Władze Grünberga miały na oku poczynania W. Levysohna, ponieważ zaangażował się w działalność polityczną, ostro występując przeciwko germanizacji i represjonowaniu Polaków mieszkających w zaborze pruskim.

W swoich raportach starosta określił „Grünberger Wochenblatt” jako „niebezpieczne destruktywno-demokratyczne pismo”, gdyż wydawnictwo W. Levysohna próbowało zainteresować mieszkańców Winnego Grodu niezwykle gorącą wtedy kwestią polską. Jako polonofil, W. Levysohn opublikował polskojęzyczny katechizm kolportowany do Wielkopolski i na Górny Śląsk. Przez dwa lata drukował polskojęzyczną wersję pisma „Penelopa”. Prawdopodobnie sam podejmował próby pisarskie, publikując pod pseudonimem Wilhelm Adami.

Odnosząc się do głośnego procesu berlińskiego polskich spiskowców z Ludwikiem Mierosławskim i Karolem Libeltem na czele, toczącego się w drugiej połowie 1847 r., W. Levysohn najpierw opublikował anonimowo fragmenty zakazanego w Prusach *Konrada Wallenroda* Adama Mickiewicza (pod zmienionym tytułem *Alpuhara*), a następnie w gazecie, między ogłoszeniami drobnymi (by zmylić cenzurę) zamieścił reklamę berlińskiej publikacji *Przesłuchanie na procesie Polaków*.

Po berlińskiej rewolucji marcowej (18-19 marca 1848), w trakcie której od kul żołnierzy zginęło ponad 200 osób, opublikował wiersz *Do króla Prus*, w którym nawoływano władcę do abdykacji. Za obrazę majestatu króla został skazany na rok więzienia, jednak odbycie kary odwlekło się w czasie, gdyż od września zaczął chronić go immunitet jako posła parlamentu frankfurckiego, którego izba ustanowiła projekt zjednoczenia Niemiec pod przewodnictwem Prus. Jednak na tę uchwałę z prośbą o przyjęcie korony cesarskiej król pruski, Fryderyk Wilhelm IV odparł, iż nie będzie podnosił korony z błota. Chciał w ten sposób zaakcentować, iż władzę nad całymi Niemcami przyjąć może jedynie z rąk równych mu królów i książąt niemieckich, a nie z rąk reprezentacji ludu. Wkrótce potem zgromadzenie przeniosło się do Stuttgartu, by ratować konstytucję i demokratyczną drogę do zjednoczenia państwa narodowego. Wojska wirtemberskie rozpędziły pozostałych około 100 parlamentarzystów, na których spadły następnie poważne policyjne represje. Wśród nich był W. Levysohn, który został oskarżony o zdradę stanu. Chociaż grünberski sąd przysięgłych uniewinnił go, motywując swój wyrok niską szkodliwością czynu, poseł musiał odbyć karę z poprzedniego procesu. Po zakończeniu odsiadywania wyroku wycofał się z aktywności politycznej. Prof. Tomasz Nodzyński, podsumowując działalność W. Levysohna na tym polu, pisze, że pozostał on „jednak symbolem lewicowo-radykalnego oblicza rewolucji z lat 1848-49, przesadnie przez konserwatywnych oponentów określanym jako *czerwony republikanin*”.

W połowie 1869 r. schorowany W. Levysohn przekazał wydawnictwo i drukarnię swoim synom Urlichowi i Arturowi. Śmierć trzeciego syna, Eugeniusza, od ran odniesionych w wojnie prusko-francuskiej (1870-71) w bitwie pod Vionville, załamała go ostatecznie. Zmarł 26 maja 1871 r. Został pochowany obok żony na cmentarzu żydowskim w Zielonej Górze.

Szlakiem miodu i wina

ROZMOWA
Z ROMANEM GRADEM

Julia i Roman Gradowie, fot. z archiwum R. Grada

– Skąd w Zielonej Górze tradycje winiarskie?
– Pierwsze informacje o uprawach winorośli na terenie Zielonej Góry sięgają połowy XI wieku. Przez kolejne stulecia winiarstwo w Winnym Grodzie miało swoje wzloty i upadki. Prawdziwy wzrost obszarów upraw oraz apogeum produkcji przypadło na początek XIX w. Wtedy to wokół miasta ponad 1000 hektarów ziemi obsadzonych było winnymi krzewami. Niestety, w kolejnych latach ten areał ulegał zmniejszeniu. Gdy po II wojnie światowej osiedlili się tu Polacy, uprawy powoli znikały z krajobrazu miasta, jednak produkcja wina odbywała się jeszcze siłą rozpędu. Z czasem z uwagi na brak surowca zrezygnowano z wytwarzania win gronowych, podstawą natomiast stały się jabłka i porzeczki. Po zmianach ustrojowych w 1989 r. Lubuska Wytwórnia Win nie umiała poradzić sobie z wolnym rynkiem. Gdy w 1999 r. ogłosiła upadłość, wydawało się, że to koniec tradycji winiarskich w regionie.

– Na szczęście stało się inaczej. Osoby prywatne wzięły sprawę w swoje ręce. Proszę powiedzieć, jak formowało się środowisko winiarskie na terenie Zielonej Góry w latach 90. i później?
– Te procesy upadku LWW i ponownego odrodzenia winiarstwa toczyły się niemal równolegle. Z jednej strony umierała wielka machina produkcyjna, z drugiej budziła się do życia aktywność osób prywatnych. Zaczęły powstawać przydomowe winnice, gdzie produkowano wino, jednak nie wolno go było sprzedawać. Winiarze zaczynali rozumieć, że muszą mieć ramy organizacyjne, aby ich głos brany był pod uwagę. Jako pierwsze powstało Lubuskie Stowarzyszenie Winiarskie. W jego skład wchodzili byli pracownicy LWW, działkowcy i miłośnicy wina. Z czasem pojawiła się kolejna grupa entuzjastów. Tworzyli ją plantatorzy chcący zakładać większe winnice, którzy ze swojego hobby mieli zamiar uczynić sposób na życie. I tak w 2003 r. powstało Ogólnopolskie Stowarzyszenie Plantatorów Winorośli i Producentów Wina. W zarządzie znaleźli się m.in. reprezentanci winnicy Stara Winna Góra z Górzykowa czy Kinga ze Starej Wsi. Mnie powierzono funkcję sekretarza. Wymienione stowarzyszenia połączyły się w 2006 r. w Zielonogórskie Stowarzyszenie Winiarskie. W 2008 r. powstał Lubuski Szlak Wina i Miodu zrzeszający winnice, pasieki, muzea oraz hotele. W kolejnych latach pojawiły się jeszcze Kulturalne Stowarzyszenie Winnice Lubuskie, Fundacja Monte Verde, a w 2013 r. Stowarzyszenie Promocji Winnic i Produktów Regionalnych, którego prezesem jestem obecnie.

– Co dawały i dają winiarzom stowarzyszenia?
– Za ich pośrednictwem plantatorzy mogli lobbować w urzędach i w ministerstwie na rzecz odpowiednich zmian w ustawodawstwie. Chodziło o to, by wino z upraw własnych można było legalnie produkować i sprzedawać. Podobne grupyzaczęły powstać również w innych regionach Polski. Nasze środowisko stanowiło jednak czołówkę tego ruchu. Mówiąc o stowarzyszeniach warto wspomnieć o prowadzonej przez nie działalności edukacyjnej i wydawniczej. Jej efektem była organizacja wielu szkoleń dla winiarzy, a także powstanie w 2004 r. pisma „Winiarz Zielonogórski", które ukazuje się do dziś. Angażowały się też w organizację imprez popularyzujących produkty pracy jej członków, m.in.: Zielonogórskiego Targowiska Winiarskiego, Święta Młodego Wina, Winobraniowego Konkursu Win, Forum Winiarskiego czy Balu Winiarza. Te aktywności znacznie przyczyniły się do podniesienia atrakcyjności turystycznej naszego regionu.

– Dużo dziś słyszymy się o winnicy w Zaborze mającej integrować środowiska winiarskie. Jak doszło do jej powstania?
– To duży projekt zrealizowany przy pomocy funduszy unijnych i zaangażowaniu urzędu marszałkowskiego. Dzięki inicjatywie winiarzy Państwowej Wyższej Szkole Zawodowej w Sulechowie przekazano 35 hektarów ziemi pod uprawę winorośli. To od niej 13 lubuskich winiarzy dzierżawi dziś działki, a każdy z nich zagospodarowuje 2-4 ha. Pierwsze nasadzenia miały miejsce wiosną 2013 r. Grupa powołana na początku trzyma się do dziś, choć oczywiście zdarzają się pewne wahania optymizmu.

– Coś spędza sen z powiek winiarzom z Zaboru?
– Nie zdawaliśmy sobie sprawy na przykład, że częścią zbiorów musimy dzielić się ze zwierzętami (dzikami, sarnami, borsukami). Mierzymy się także dziś z przyszłością związaną z dystrybucją wyprodukowanego wina. Czy da się je sprzedać i za jaką cenę? Czy rachunek ekonomiczny pokryje koszty produkcji i przyniesie satysfakcjonujący zysk? Uprawa winorośli w naszym klimacie jest ryzykowna. By założyć winnicę, trzeba uruchomić znaczne środki finansowe. Nasadzenie hektara wraz z budową konstrukcji podporowej to kilkadziesiąt tysięcy złotych (około 60-100). Na szczęście zapotrzebowanie na lokalne wino jest nadal duże. Kluczową rolę w jego zbycie odgrywa zielonogórskie Winobranie, podczas którego sprzedajemy nasze produkty. Przez dziewięć dni trwania imprezy udaje nam się zbyć znaczną część naszego wina. Pozostała część produkcji znajduje nabywców na różnego rodzaju targach czy w zielonogórskich restauracjach. Również w lokalnych sklepach, choć na razie nie są to duże ilości.

– Kiedy będziemy mogli pić pierwsze wino z Zaboru?
– W trzecim roku od posadzenia zbieramy pierwsze owoce, tak więc dopiero w roku ubiegłym wyprodukowaliśmy z nich wino i to, jakie będzie, okaże się na Winobraniu 2017.

– Zatem jaka przyszłość czeka zielonogórskich winiarzy? Czy da się z tego wyżyć?

– Odpowiem za trzy, cztery lata. Dziś zaledwie kilku winiarzy utrzymuje się tylko z pracy na winnicy. Wielu ma dodatkową działalność gospodarczą lub jest zatrudniona gdzie indziej. Przyszłości upatrujemy nie tylko w produkcji, ale również w enoturystyce, która jest jednak sezonowa. Winnica nabiera atrakcyjności dopiero w czerwcu. Wtedy można organizować imprezy, degustacje czy oprowadzać gości. Ten czas trwa do końca października. W winnicy Julia sezon otwieramy majówką. Krzewy są już przycięte, uwiązane i możemy pokazać, w jaki sposób prowadzi się rośliny. Mamy też altanę biesiadną, w której odbywają się spotkania i prezentacje naszych wyrobów. Dodatkową atrakcją jest Park Miniatur Historycznych Obiektów Winiarskich. Są to wykonane metodą modelarską miniatury budowli, które przed laty miały charakter stricte winiarski. Nabot, Weinschloss, Marienkapelle, Wieża Braniborska, pomnik Emmy przenoszą naszych gości w świat miniony, a niesamowite historie tych obiektów stanowią dodatkową atrakcję. Na winnicy znajduje się ogród zielarski, którego rośliny są używane do komponowania smaków nalewek i potraw. Kolejną zachętą jest powstająca pasieka, dzięki której wkomponowujemy się jeszcze bardziej w Lubuski Szlak Wina i Miodu. Plantacja staje się więc nie tylko miejscem, gdzie rosną winogrona, ale można tu spędzić kilka godzin, biesiadując i korzystając z różnych atrakcji.

Rozmawiała Alicja Błażyńska

Roman Grad – plantator winorośli i producent wina.
Od wielu lat zaangażowany w prace na rzecz odradzania zielonogórskiego winiarstwa i kultywowania jego tradycji. Byłe ekspertem Krajowej Rady Izb Rolniczych i przedstawicielem Polski w grupie roboczej Copa - Cogeca w UE. Pierwszą winnicę Julia założył, wspólnie z żoną Małgorzatą, w 2003 r. w Zielonej Górze Starym Kisielinie. Od 2013 r. wspólnie z 12 innymi osobami bierze udział w realizacji 35-hetarowej winnicy w Zaborze.

Agnieszka Szczap
Katarzyna Turonek-Ostrowska

Śladami kobiet

Kobiety w dużym stopniu kształtowały życie kulturalne Zielonej Góry. Naszą opowieść zaczniemy od niewiasty niezwykłej, której życie fascynowało zwykłych obywateli. Należała do elit, a w dzisiejszych kategoriach pewnie uznano by ją za celebrytkę.

Hermine von Reuss urodziła się w 1887 roku w Geiz, stolicy księstwa Reuss. Podczas uroczystości zaślubin swojej siostry w 1905 r., poznała Jerzego Ludwika Ferdynanda Augusta von Schönaich-Carolath, pana na majoracie Siedlisko i podzielonogórskim Zaborze, tego samego roku stali się narzeczeństwem, a dwa lata później wstąpili w związek małżeński. Mieli pięcioro dzieci. Jej mąż zmarł niespodziewanie w 1920 r. W 1922 r. Hermine wyszła po raz drugi za mąż, za Wilhelma II von Hohenzollerna, rok po śmierci jego pierwszej żony Augusty Wiktorii. Herminę tytułowano cesarzową. Jej życiem interesowali się dziennikarze, którzy potrafili zapłacić spore sumy za ciekawe szczegóły. Z czasem ich zainteresowanie osłabło. Jak podają badacze: słynęła z działalności charytatywnej z okresu I wojny światowej, kiedy to stworzyła lazaret działający w Zaborze. Była fundatorką Funduszu cesarzowej Herminy. Wsparła fundację Kaiserin Hermine-Wohlfahrtsfonds 50 tys. marek na rzecz pomocy osobom chorym na gruźlicę, sierotom oraz wsparcia studentów ze średniej warstwy mieszczaństwa. W 1929 r. stworzyła Herminen-Hilfswerk, który miał na celu wskrzeszenie rękodzielnictwa i produkcji gobelinów. Z jej inicjatywy otwarto szkołę tkacką, która zajmowała się kształceniem młodzieży.

Hermine utrzymywała kontakty ze środowiskami artystycznymi Niemiec, wymieniała listy z pisarzem Paulem Lindenbergiem, z profesorem historii uniwersytetu w Würzburgu i Monachium, Maxem Buchnerem, z dziennikarzem Jerzym Sylwestrem Viereckiem. Wraz z rozpoczęciem wojny, synów cesarzowej wysłano na front. Władza nieprzychylnie odnosiła się do arystokracji, korespondencja Herminy była cenzurowana. Cesarzowa zmarła w 1947 r. we Frankfurcie nad Odrą.

Szczególną sympatią zielonogórzan cieszyła się aktorka Halina Lubicz (właściwie Halina Kirszke). Urodziła się 5 lutego 1906 r. w Białej Podlaskiej w aktorskiej rodzinie Michała i Marii Pempkowskich. W 1925 r. pracowała w Teatrze Miejskim w Toruniu. Potem występowała na scenach Poznania. Była aktorką dramatyczną, tancerką i śpiewaczką. W czasie wojny pracowała fizycznie lub jako kontystka, organizowała tajne przedstawienia dla dzieci. W 1945 r. założyła Teatr Lalki i Aktora w Poznaniu, była jego dyrektorką i kierowniczką artystyczną. Do Zielonej Góry trafiła w 1954 r. Tu występowała i reżyserowała przedstawienia dla młodzieży. W 1955 r. założyła poradnię artystyczną dla zespołów amatorskich.

W 1959 r. utworzyła scenę lalkową, która trzy lata później przekształciła się w teatr Cudaczek. Otrzymała Order Uśmiechu, jedyne na świecie odznaczenie nadawane przez dzieci.

H. Lubicz słynęła z działalności w Polskim Związku Niewidomych, za co została uhonorowana w 1966 r. Złotą Odznaką PZN. Wraz z rodziną podjęła się opieki nad Michałem Kaziowem – inwalidą wojennym, który był niewidomy i pozbawiony obu rąk. Dzięki jej pomocy M. Kaziów zdał maturę, skończył studia polonistyczne i obronił tytuł doktora. Oprócz występowania na deskach teatralnych, pracy z niewidomymi, H. Lubicz organizowała słuchowiska radiowe. Zmarła w 1991 r.

Do ronda Haliny Lubicz prowadzą ulice Działkowa, Prosta i Zacisze, fot. archiwum

Leszek Kania

Na jubileusz artysty

Punkt widzenia 30/60 to tytuł przekrojowej wystawy Jerzego Fedry w Muzeum Ziemi Lubuskiej otwartej w marcu 2017 roku, ukazującej w syntetyczny sposób jego dotychczasowe twórcze działania. Artysta urodził się w Zielonej Górze, mieszka i tworzy w Gubinie.

Powody do zorganizowania tej małej retrospektywy są zasadnicze i wynikają z biografii samego autora, który obchodzi w tym roku jubileusz 30-lecia pracy twórczej i 60. urodziny. Stąd też ułamkowy zapis pojawiający się w tytule pokazu. Kojarzy się on jednoznacznie z charakterystycznym sposobem opisu odbitki graficznej uwzględniającym kolejny numer egzemplarza i wysokość nakładu edycji. Nie bez powodu, ponieważ mamy do czynienia z twórcą uprawiającym grafikę warsztatową. Ta ze wszech miar szlachetna dyscyplina wymaga szeregu umiejętności, a głównie cierpliwości i pokory. Wiąże się bowiem ze skomplikowanym, rozłożonym w czasie procesem powstawania dzieła. Dotyczy to w szczególności tzw. technik metalowych – wklęsłodruków – będących przedmiotem specjalizacji Jurka. Ich tajniki poznawał w poznańskiej PWSSP pod czujnym okiem świetnego artysty i pedagoga prof. Tadeusza Jackowskiego. Mistrz potrafił ustrzec swojego wychowanka od naśladownictwa, ucząc jednocześnie znakomitego opanowania warsztatu graficznego, a przede wszystkim własnego rozumienia sztuki. Widać to już wyraźnie we wczesnych, studenckich jeszcze próbach.

Wspomnienie Uli to seria trzech kameralnych grafik z roku 1985. Przedstawiają one akt młodej dziewczyny we wnętrzu. Wykonane techniką suchej igły, zachowują cechy swobodnego szkicu rysunkowego. Umiejętne operowanie zróżnicowaną kreską tworzy tu intensywne kontrasty światłocieniowe. Budują one nastrój kompozycji, ujawniając zmysłowy kształt kobiecego ciała. Kontynuacją tych poszukiwań był powstały dwa lata później cykl zatytułowany *Oczekiwanie*. Artysta poświęcił go brzemiennej małżonce. Na dużych formatach utrwalił magiczny czas w jej życiu, rejestrując jednocześnie zmiany zewnętrznego wyglądu. Syntetyczny, niezwykle subtelny obraz ciężarnej kobiety zadziwia bogactwem graficznej materii uzyskanej za sprawą łączenia różnorodnych technik – akwaforty i akwatinty. Warto też odnotować, że *Oczekiwanie* miało swoje odniesienie nie tylko wizualne, ale również tekstowe. Obie propozycje zostały wysoko ocenione przez Jerzego Ludwińskiego, bez wątpienia jednej z kluczowych postaci polskiej sztuki współczesnej drugiej połowy XX wieku.

Ważną realizacją w dorobku graficznym zielonogórsko-gubińskiego twórcy jest *Genezis*. Rozpoczęty w 2005 r. cykl jest autorską interpretacją biblijnej Księgi Rodzaju. Proces powstawania i przemiany Matki Ziemi artysta przedstawił w sposób abstrakcyjny. To, co niewytłumaczalne w spojrzeniu na przeszłość świata i jego początek, zostało wytłumaczone przestrzenią. Jest ona budowana za pomocą bieli i czerni. Ryciny te emanują niezwykłym światłem. Mają w sobie niedopowiedzenie i tajemnicę. Tematyka *sacrum* przewija się również w wielkoformatowych rysunkach. Element przedstawieniowy jest tutaj znacznie silniejszy, bardziej realistyczny w odniesieniu do obowiązujących typów ikonograficznych – ukrzyżowanego Chrystusa czy modlącej się orantki.

Nie ulega wątpliwości, że J. Fedro ma temperament rysownika. Interesuje go wszystko to, co można w sposób interesujący narysować. Biegłość warsztatowa w pełni mu na to pozwala. To ona, w połączeniu z osobistym postrzeganiem rzeczywistości, tworzy indywidualność artystyczną, której wyznacznikiem jest autorska kreska, „własny charakter pisma". Źródeł inspiracji jest bardzo wiele, ale najważniejsza jest natura, rozumiana jako niedościgniony wzór ładu, porządku i harmonii. Takich odniesień do otaczającego świata jest w jego twórczości bardzo wiele. I nie dotyczą one wyłącznie drzew czy kwiatów…

Dziwnym sposobem Jerzemu udaje się godzić niezależność artystyczną z obowiązkami grafika użytkowego, choć jak sam przyznaje, brakuje mu czasu, aby robić coś dla siebie. Jak się okazuje, prace na zamówienie, wykonywane „dla pieniędzy", mogą sprawiać twórczą satysfakcję. Dobrym przykładem tego typu realizacji jest cykl 23 barwnych prac poświęconych zielonogórskiemu winiarstwu. Jego pomysłodawcą był dr Andrzej Toczewski, który dostarczył informacji i anegdot na ten temat, a stworzone na ich podstawie dowcipne akwarele zdobią ekspozycję winiarską. W obrazach tych pojawiły się postacie mocno związane z Zieloną Górą, m.in. Urszula Dudziak i Maryla Rodowicz. Cykl został szeroko spopularyzowany. Gigantyczne powiększenia wybranych motywów od kilku lat są elementem scenografii miasta podczas Winobrania.

Najliczniejszą grupę prezentowanych na wystawie prac stanowią portrety. Fedro tworzy je od dawna, z potrzeby serca, duszy i kieszeni. Chętnie portretuje własną rodzinę – matkę, żonę, dwóch synów i córkę. Co jakiś czas rysuje także siebie w sposób autoironiczny. Galeria przedstawionych postaci jest bardzo obszerna. Dotyczy ludzi powszechnie znanych w Polsce, ale również związanych z regionem i Winnym Grodem. Zrealizował całą serię wizerunków zielonogórskich polityków, ludzi nauki i artystów, utrwalając m.in. swoją pierwszą nauczycielkę Irenę Bierwiaczonek, a także Jolantę Zdrzalik i Agatę Buchalik-Drzyzgę. Swoje konterfekty mają też wciąż aktywni: Józef Burlewicz, Tadeusz Dobosz, Janusz Skiba i Adam Falkiewicz. Ekspozycja uwzględnia również karykatury postaci z politycznego świecznika: prezes Jarosław Kaczyński gra na dudach, premier Beata Szydło nosi charakterystyczną broszkę, Antoni Macierewicz wyskakuje na sprężynie z pudełka, a minister Szyszko ujarzmia dzika, dzierżąc w ręku siekierę. J. Fedro życzliwie traktuje swoich bohaterów, nie przesadza z akcentowaniem i wzmacnianiem rysów ich twarzy. W rysunkach satyrycznych poszukuje wymownej i czytelnej metafory. Precyzja i rozmaitość form współgrają tu z poetycką wyobraźnią i okiem prześmiewcy.

Prezentowane w muzealnych wnętrzach prace J. Fedry zostały starannie wybrane przez kuratorkę wystawy Alicję Błażyńską. Ułożone tematycznie i profesjonalnie wyeksponowane, dają szansę zapoznania się z jego różnorodną twórczością, tak trafnie odzwierciedlającą bogactwo otaczającego nas świata.

Od redakcji: prace Jerzego Fedry na str. 8 i 9

Mirosława Szott

Flirtowanie z historią

Gdyby na Zieloną Górę i jej historię popatrzeć przez komiks, który stworzył Igor Myszkiewicz? Nie jest to propozycja do końca bezpieczna – czytając ten komiks, pomyliłam autobusy, spóźniłam się na spotkanie, jechałam dalej bez biletu, w rekompensacie – objechałam miasto innymi drogami. Ale czy właśnie takich alternatywnych ścieżek historii nie potrzebuje szkoła? Albo może szerzej – nie rozdzielając rzeczywistości na szkołę i nie-szkołę – każdy z nas. I. Myszkiewicz zaprasza nas do flirtowania z historią, relacji niezobowiązującej, ale pełnej ekspresji i humoru.

Ucieszyła mnie wiadomość, że *Paprochy historii. Zielonogórskie podróże w czasie* otrzymały nominację do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego 2016, bo to oznacza, że jury otworzyło się na inną formę książki literackiej. Dodajmy: formę, z której autor od kilkudziesięciu lat musi się niejako tłumaczyć. Bo cały czas istnieje jakaś nietolerancja wobec komiksu jako sztuki niższych lotów, podgatunku, który nie wiadomo czy przynależy bardziej do dziedziny plastyki, czy literatury.

Tytuł. Po rozdaniu Warzynów okazuje się, że w lokalnych dziennikach zaistniały spore rozbieżności nazewnicze, bo okazuje się, że raz nominowana została publikacja *Paprochy historii. Zielonogórskie podróże w czasie*, a innym razem *Zielonogórskie podróże w czasie. Paprochy historii*. O rozstrzygnięcie najlepiej byłoby prosić samego autora. Dla mnie jednak „paprochy historii" zasługują bardziej na tytuł niż podtytuł (biorąc pod uwagę ich lokalizację na stronie tytułowej – są raczej „nadtytułem"). Przyciągają uwagę (do szczegółu, konkretu; tego, co spychane ze stołu jak paproch) i jednocześnie odwracają ją od historii abstrakcyjnej, poważnej, Wielkiej.

Pomysł na fabułę. I. Myszkiewicz wykorzystał i twórczo przetworzył znany motyw z wehikułem czasu. Dwójka mężczyzn przenosi się (ale czynią to stopniowo jak nurek wpływający na głębiny) od współczesności do czasów „archaicznych" Zielonej Góry, czyli roku 1222. Są oni wędrowcami, *flâneurami*, którzy chętnie gubią się w czasowych warstwach miasta, zdarza im się ingerować w bieg zdarzeń (wspomnę tylko o IX edycji Festiwalu Piosenki Radzieckiej). Są naszymi przewodnikami. Komiks poza tym, że świetnie obrazuje zielonogórską historię, ma też dodatkową wartość mnemotechniczną (łączy informacje z zabawnym obrazkiem).

Igor Myszkiewicz, *Paprochy historii. Zielonogórskie podróże w czasie*, Zielona Góra 2016.

Przymrużenie oka. W opowieści I. Myszkiewicza jest mnóstwo poczucia humoru – na przykład Jerzy Paproch, konstruktor „Kukułki 2000", przypomina o niechcianych pomnikach – zanosi kwiatki pod kamień, na którym wyryto dumny napis: „W dniu 1 maja 1951 Województwo Zielonogórskie Zlikwidowało analfabetyzm, haniebną spuściznę kapitalizmu" i komentuje go następująco: „Podobno jako jedyni w kraju! I dalej leży w tym miejscu, choć przewrócony i porośnięty bluszczem. Może się jeszcze kiedyś przyda?". Przy scenie z 800-letnim cisem obok rozmyślań nad tym, co „krzaczor" mógłby opowiedzieć, gdyby tylko potrafił mówić, znajdziemy refleksję: „800 lat? Oczyma duszy widzę już te niezliczone generacje zielonogórskich psów". Mam podobnie, gdy to czytam.

Na komiks składa się zarówno scenariusz jak i szata graficzna. Zazwyczaj jest tak, że najpierw percypujemy rysunek, a dopiero później tekst. Obraz jest nieruchomy (to odróżnia komiks od animacji), ale z kolejnymi kadrami tworzy sekwencję (jak film). Rozwijany jest w przestrzeni – to inaczej niż tradycyjna książka. Kreska I. Myszkiewicza jest charakterystyczna. Jego szczegółowe i przerysowane postacie, rozpoznawalne zielonogórskie obiekty architektoniczne, soczyste kolory łączą poetykę fantastyki i realizmu. Artysta jest wnikliwym obserwatorem. Zdarza mu się tworzyć też obrazy makabryczne, przerażająco piękne – odsyłam do jego powieści graficznej *W sepii*. Ale to inny przypadek.

Także scenariusz *Paprochów* jest świetnie skonstruowany, dynamiczny, nie sposób się nudzić. A przy okazji sporo można się dowiedzieć (np. że w XVIII w. Zieloną Górę nawiedzała plaga szarańczy, że na głównym placu miasta stała podobizna cesarza Wilhelma I, ale w czasie I wojny światowej przetopiono ją na kule armatnie). Przypomina ważne postacie związane z miastem, np. Bartłomieja Pitiscusa, ojca trygonometrii. Mamy mnóstwo ciekawych wątków regionalnych (nie mogło zabraknąć zielonogórskiego wina; bohaterowie próbują różnych trunków „wyłącznie w celach badawczych"). Dobrze, że twórca komiksu zadbał też o tajemnicę bohatera, tę osobistą, bo dzięki niej dowiadujemy się czegoś o relacjach międzyludzkich.

Można by pewnie ten komiks nazwać komiksem regionalnym i za jego pomocą promować miasto. Bo raczej nie da się tego zrobić np. dwutomową *Historią Zielonej Góry* czy monumentalną *Enographią Thalloris*. Książkę I. Myszkiewicza zamyka przejrzysty wykres – Zielona Góra pod różnymi berłami. To także ważne graficzne spostrzeżenie – pokazujące, że pod warstwą obecnej siedemdziesięciodwuletniej Zielonej Góry ukrytych jest kilka wieków niemieckiego Grünberga.

Komiks to może po prostu styl myślenia, swobodny, zdystansowany i bardzo ułożony, konsekwentny (spróbujmy opowiedzieć wczorajszy dzień w pięciu obrazkach, a przekonamy się, że nie jest to proste). Zielonej Górze zdecydowanie na dobre wychodzi takie myślenie za pomocą *Paprochów*. Bo pokazuje, że rozdział miasta, który my piszemy, to jedynie bardzo mały fragment większej układanki. Nie ma co gwiazdorzyć. Wystarczy na przeszłość spojrzeć od czasu do czasu z innej perspektywy. I koniecznie z przymrużeniem oka.

Izabela Korniluk

Z kalendarza TMZG Winnica

2013

18 listopada – zebranie założycielskie Towarzystwa Miłośników Zielonej Góry WINNICA z udziałem członków-założycieli, wybór zarządu i organów towarzystwa, zatwierdzenie statutu i określenie wysokości składek członkowskich. Wśród celów, które sobie postawiło towarzystwo, znalazło się promowanie i rozsławienie naszej małej ojczyzny oraz osób tu mieszkających, prowadzenie działalności wydawniczej oraz wystawienniczej, a także kontynuowanie niegdyś funkcjonującej Galerii Krzywe Zwierciadło. Prezesem nowoutworzonego stowarzyszenia został Ryszard Błażyński.

26 listopada – złożenie wniosku w Sądzie Rejonowym w Zielonej Górze o wpisanie TMZG Winnica do Krajowego Rejestru Sądowego.

2014

Marzec – spotkanie założycielskie (fot. 1).

14 sierpnia – objęcie patronatem przez Stowarzyszenie Polskich Artystów Karykatury wszelkich inicjatyw towarzystwa związanych z promocją i popularyzacją działań w obszarze karykatury i rysunku satyrycznego.

19 sierpnia – zgłoszenie towarzystwa do Związku Lubuskich Organizacji Pozarządowych.

Grudzień – współudział w wydaniu zbioru wierszy *Światło przed nocą* z wierszami Czesława Sobkowiaka i z rysunkami Adama Bagińskiego. Za tę książkę poeta otrzymał Lubuski Wawrzyn Literacki 2014 (fot. 2).

Grudzień – wydanie książki Marka Jurgońskiego *Mniejsza epopeja,* uznanej przez jury Lubuskiego Wawrzynu Literackiego za najlepszy debiut literacki 2014 r. (fot. 3).

Grudzień – ukazanie się książki Andrzeja K. Waśkiewicza *Lubuskie środowisko literackie. Szkice z lat 1963-2012* pod redakcją Eugeniusza Kurzawy. Publikacja była wynikiem współpracy towarzystwa z oddziałem Związku Literatów Polskich i Uniwersytetem Zielonogórskim. Książka ukazała się w serii Historia Literatury Pogranicza.

2015

11 marca – spotkanie członków i sympatyków towarzystwa w kawiarni Deja Vu, połączone z promocją książki Andrzeja K. Waśkiewicza *Lubuskie środowisko literackie. Szkice z lat 1963-2012* (fot. 4).

1

17 marca – walne zebranie członków TMZG, podczas którego zatwierdzono sprawozdanie finansowe za 2014 r., przyjęto sprawozdania z działalności zarządu w 2014 r. i udzielono absolutorium zarządowi.

16 kwietnia – spotkanie członków i sympatyków towarzystwa w kawiarni Deja Vu oraz promocja książki *Światło przed*

2

5

6

3

7

4

8

nocą Czesława Sobkowiaka oraz wystawa prac Adama Bagińskiego połączona z aukcją trzech jego akwarel (fot. 5).

3 czerwca – pierwsza wystawa TMZG w Muzeum Ziemi Lubuskiej z cyklu Kronikarze Zielonej Góry, prezentująca dorobek fotograficzny Zbigniewa Rajche *Kronikarz czasu*. Towarzyszył jej katalog *Kronikarz czasu. Znana i nieznana Zielona Góra w fotografii Zbigniewa Rajche* (fot. 6).

30 czerwca – spotkanie członków i sympatyków towarzystwa w kawiarni Deja Vu i promocja książki Marka Jurgońskiego *Mniejsza epoeja*.

19 sierpnia – otwarcie wystawy w ramach nowego cyklu Spotkanie z Mistrzem, prezentującej dorobek satyryczny Zbigniewa Jujki. Z tej okazji ukazał się katalog *Czarno na białym*. Wydarzenie zrealizowane zostało w siedzibie Muzeum Ziemi Lubuskiej, które było współorganizatorem wystawy (fot. 7).

Wrzesień – publikacja książki Mirosławy Szott *Anna,* poświęconej poetce Annie Tokarskiej (fot. 8).

9

10

11

12

13

14

15

16

20 listopada – pierwsza edycja Zielonogórskiej Nagrody Literackiej „Winiarka". Jej laureatem został dr Robert Rudiak za pracę *Ruch literacki na Środkowym Nadodrzu w XX i XXI w.* Równolegle z wręczeniem „Winiarki" oddział zielonogórski Związku Literatów Polskich uhonorował Alfreda Siateckiego Nagrodą Literacką im. Andrzeja K. Waśkiewicza. Spotkanie odbyło się w Muzeum Ziemi Lubuskiej. Więcej na s. 6-7 (fot. 9).

2016

24 lutego – podczas gali w Planetarium Wenus Mirosława Szott otrzymała dyplom potwierdzający nominację tomiku *Anna* do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego.

2 marca – druga wystawa TMZG Winnica w Muzeum Ziemi Lubuskiej z cyklu Kronikarze Zielonej Góry. Prezentacja dorobku artystycznego Bronisława Bugiela pt. *Inne widzenie świata*. Przy okazji wystawy ukazał się katalog *Bronisław Bugiel. Inne widzenie świata* (fot. 10 i 11).

14 marca – Walne Zebranie członków towarzystwa, podczas którego zebrani zatwierdzilisprawozdanie finansowe za 2015 r., przyjęli sprawozdanie z działalności i udzielili absolutorium zarządowi za pracę w 2015 r. Na wniosek prezesa skład zarządu został poszerzony do siedmiu osób.

Kwiecień – publikacja zbiorku poetyckiego *Niesyta czasu* Barbary Konarskiej (fot. 12).

6 lipca – druga wystawa TMZG w Muzeum Ziemi Lubuskiej z cyklu Spotkania z Mistrzem. Tym razem zaprezentowano dorobek artystyczny Henryka J. Chmielewskiego. Wystawa miała tytuł *Papcio Chmiel i jego podopieczni* (fot. 13).

25 listopada – II Gala Literacka. Zielonogórską Nagrodę Literacką oraz statuetkę Winiarki wg projektu Roberta Tomaka otrzymała Agnieszka Leśniewska za zestaw poezji pt. *Tkanka*. Podobnie jak rok wcześniej również na tym spotkaniu wręczono Nagrodę Literacką im. Andrzeja K. Waśkiewicza, którą otrzymał Robert Rudiak. Wydarzenie zrealizowane zostało wspólnie z oddziałem zielonogórskim ZLP. Więcej na stronie http://www.tmzg.org.pl/artykuly/Winiarka_2016.html (fot. 14).

8 grudnia – spotkanie członków i sympatyków TMZG w kawiarni Deja Vu i wykład dr. Grzegorza Biszczanika na temat pocztówek grünberskich i zielonogórskich.

Grudzień – publikacja pracy prozatorsko-poetyckiej *Umieralnia* Roberta Rudiaka (fot. 15).

2017

10 marca – otwarcie wystawy *Jerzy Fedro. Punkt widzenia 30/60* z cyklu Kronikarze Zielonej Góry, zrealizowanej we współpracy z Muzeum Ziemi Lubuskiej. Więcej na stronie:www.tmzg.org.pl/artykuly/Fedro.html (fot. 16).

W kronice pominięto zebrania zarządu towarzystwa, podczas których jego członkowie zajmowali się zadaniami wynikającymi z planu pracy.

Ta sama nazwa, inne miejsca

Wojewódzka Zielona Góra ma dziś troszkę ponad 136 tys. mieszkańców. W 1313 r. w mieście żyło 800 osób, 1480 – 2000, 1625 – 10 000, 1787 – 6461, 1885 – 14 395, 1900 – 20 983, 1939 – 26 076, 1950 – 31 134, 1970 – 73 156, 1980 – 109 926, 2000 – 118 786.

Zielona Góra – wieś kociewska w gminie Lubichowo, powiat starogardzki, województwo pomorskie. Najstarsza wzmianka o wsi pochodzi z 1373 r. Zamieszkała przez 214 osób. – W naszej wiosce jest najwyżej sześć rodzin utrzymujących się z rolnictwa – mówi sołtys Sebastian Pączek, na co dzień zastępca dyspozytora w Zakładzie Komunalnym w Starogardzie Gdańskim, sprawujący swój urząd także w Budach i Lipinkach Królewskich. Większość mieszkańców dojeżdża do pracy w Starogardzie Gdańskim.

Zielona Góra – kiedyś to była samodzielna wieś. Dziś jest częścią wsi Niekłań Mały w gminie Stąporków, powiat konecki, województwo świętokrzyskie. Sołtys Jan Telecki dodaje, że to właściwie jedna, niezbyt ciekawa ulica w Niekłaniu Małym.

Zielona Góra – przysiółek wsi Szymonków w gminie Wołczyn, powiat kluczborski, województwo opolskie.

Zielona Góra – osada leśna i rezerwat przyrody w gminie Olsztyn, powiat częstochowski, województwo śląskie. Osada należy do wsi Kusięta.

Zielona Góra – wieś w gminie Koluszki, powiat łódzki wschodni, województwo łódzkie. Dawniej była kolonią w gminie Gałkówek. Mieszka tam około 210 osób.

Zielonagóra – wieś w gminie Obrzycko, powiat szamotulski, województwo wielkopolskie, położona na prawym brzegu Warty przy drogach do Czarnkowa i Obornik. Zamieszkała przez około 700 osób. Wzmiankowana po raz pierwszy w 1757 r. Do 1945 r. stanowiła własność Raczyńskich. We wsi znajduje się zespół pałacowy Obrzycko Zamek, w którym mieści się Dom Pracy Twórczej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Jak powiedział sołtys Dariusz Stańka, Zielonagóra to prawie przedmieście Obrzycka.

W środkowych Czechach jest Zelena Hora. To wyniesienie w pobliżu miejscowości Zdziar nad Sazawą. Stoi na nim sanktuarium pielgrzymkowe św. Jana, uważane za jedno z najciekawszych miejsc na Morawach. Sanktuarium znajduje się na liście światowego dziedzictwa kultury UNESCO.

W Niemczech jest sporo geograficznych i historycznych Grünbergów. W heskim powiecie Griessen znajduje się miasteczko o tej nazwie, zamieszkałe przez ok. 14 tys. osób. Jedna z dzielnic brandenburskiego Brüssowa (niedaleko granicy z Polską) to także Grünberg. Dzielnicą saksońskiego Augustusburga, leżącego niedaleko Chemnitz, również jest Grünberg.

Plac zabaw w Zielonej Górze, w powiecie starogradzkim, fot. Bożena Daszkowska

Pałac Raczyńskich z początku XX wieku w Zielonejgórze, w powiecie szamotulskim, fot. https://pl.wikipedia.org/wiki/Zielonagóra

Sanktuarium św Jana w Zelenej Horze, fot. http://kamineknaceste.blog.cz1409zelena-hora

na WINNICY

Magazyn Towarzystwa Miłośników Zielonej Góry WINNICA

Adres do korespondencji
65-093 Zielona Góra, ul. Lisia 37
e-mail tmzg-winnica@o2.pl
www.tmzg.org.pl

Redagują: Alicja Błażyńska, Alina Polak,
Alfred Siatecki – redaktor naczelny
Skład i łamanie: Emilia Ćwilińska
Numer zamknięto 31 marca 2017 r.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo skrótów i opracowania redakcyjnego tekstów przyjętych do druku oraz prawo nieodpłatnego publikowania listów. Redakcja zastrzega sobie również możliwość wykorzystania publikowanych materiałów na stronie internetowej TMZG. Za treść zamieszczonych reklam, ogłoszeń, listów i materiałów sponsorowanych redakcja nie odpowiada.